№ 38. Warszawa, dnia 6 (18) Września 1875 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAN I ROBOT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

ŚWIAT SERDECZNY

POWIEŚĆ

przez

Walerya Marrené (Morzkowska).

(Dalszy ciąg).

Wola chorej była stanowczą, Drobińska była posłuszną, niebawem przyniesiono synopizma a Stanisława przystawiła je sama, starając się przynieść ulgę biednej Eligji wszelkiemi zwykłemi sposobami o których tutaj jednak, nikt nie zdawał się mieć pojęcia.

Niebawem też Eligija ukołysana jej staraniami, usnęła na chwilę, trzymając w swoich rękę kuzynki, co odrazu zdobyła sobie jej ufność i serce. Stanisława siedziała przy łóżku rozmyślając w milczeniu, nad tym domem nieznanym do którego weszła tak nagle. Wszystko tu dla niej było obce, nowe, dziwne, począwszy od tej chorej dziewczyny, opuszczonej na los szczęścia u własnych rodziców, aż do martwoty samej pani nie zdającej się mieć stanowczego udziału ani w zarządzie domu ani w postępowaniu córek. Słyszała wprawdzie że pan Kalasanty Drobiński był bardzo bogaty, ogromny dom ten był jego własnością, przecież prócz salonu przybranego w zwyczajne sprzęty od gości, wszystko w tem mieszkaniu tchnęło nieledwie ubóstwem, a bezładne słowa Eligji, wymawiane w gorączce, świadczyły o twardej doli, jaka pomimo dostatków, była widocznie udziałem rodziny.

Żaden szczegół nie uchodził bystrego oka sieroty, przecież nie mogła nikogo o nic zapytać, a teraz śledziła tylko gorączkowe ruchy kuzynki, z prawdziwym niepokojem. Matka przybliżała się do niej co chwila, nasłuchiwała przyśpieszonego oddechu córki, wzdychała i narzekała, ale na tych bezużytecznych objawach współczucia, ograniczała się cała jej działalność.

— O mój Boże — szeptała do Stanisławy — jak pani ją znajdujesz?

Zapytana wzruszyła ramionami.

— Ja nie wiem — odparła — nie znam choroby Elci, ani lekarstwa na nią, ale dla czegoż w Warszawie nie poradzić się kogo.

— Tak, tak, potrzeba doktora; mówiłam to dzisiaj mężowi, ale on ani słuchać o tem nie chciał.

— Dla czegoż?

Na to naiwne pytanie, pani Pelagija nie znalazła odpowiedzi odrazu. Nie śmiała jakoś przyznać się że tu chodziło o zapłatę i nie rozumiała znowu, jak ona mogła nie pojmować tak prostej przyczyny.

— Bo widzi pani, wyrzekła zakłopotana, mój mąż ma swoje uprzedzenia.

— Ależ tu chodzi o zdrowie, może o życie!

— O życie — powtórzyła przerażona kobieta której myśl podobna nigdy przez głowę nie przeszła, więc pani sądzi że jest tak źle.

— Ja nic sądzić nie mogę, nie pojmuję tylko, jak można chorą zostawiać bez ratunku.

— Powiem to mężowi, powiem raz jeszcze, ale to daremnie, mąż nigdy nie chce przystać na doktora.

— Więc państwo nigdy nie wzywali lekarza?

— Nigdy; to jest raz gdym ja chorowała, to matka przysłała swojego.

— A teraz?

— Ah! teraz trzeba będzie znowu matkę poprosić, może też pan Feliks powróci.

I zaczęła objaśniać nowo-przybyłą, o młodym doktorze widocznie zajętym Eligiją, jego nadziejach i zamiarach, i o tem że w krótce obiecał swój powrót.

Stanisława słuchała machinalnie jej bezładnego opowiadania, czuła się zmęczoną bardzo podróżą i wzruszeniami dnia tego, przecież gospodyni domu nie zdawała się wcale o tem myśleć.

Teraz biedna dziewczyna spuściła głowę na piersi i czuwając nad chorą pogrążyła się w milczeniu. Pani Drobińska przedstawiła jej się w całej swej moralnej nicości, zrozumiała że ograniczony umysł wyrobił w niej nawet brak uczucia. To co widziała ze swojej nowej rodziny było smutne, a to co przeczuwała smutniejszem jeszcze. Nieznany wuj budził w żonie i córkach widoczną obawę, ona jednak oczekiwała go bez trwogi z rodzajem obojętności na drobne ciernie życia, jaką wyrabiają wielkie nieszczęścia, gdy ciszę panującą w pokoju Eligji, przerwało wejście dwóch młodszych sióstr powracających z miasta.

Były one w wybornem usposobieniu, chichotały i szeptały coś pomiędzy sobą, tak że matka daremnie dawała im znaki milczenia.

— Wszystko idzie wybornie — zawołała nieuważnie Józia. Cóż to czy Elcia śpi.

Słysząc pomieszane głosy, Eligija otworzyła oczy. Sen pokrzepił ją trochę, podniosła się na łokciu, i wlepiła w siostry niespokojne oczy. Widocznie chociaż sama oświadczyła głośno, iż grzechem było wyłudzać od babki grosz ciężko oszczędzony, nie posuwała tak daleko bezinteresowności, by nie chcieć z jej łaski korzystać.

— Babcia zrazu namyślała się i martwiła, mówiła dalej Józia.

— Narzekała że nie ma pieniędzy, wtrąciła ze śmiechem Leosia.

— Ale jak zaczęłyśmy ją prosić, jak pokazałam swoje dziurawe buciki, i powiedziałam że Elcia rozchorowała się ze zmartwienia, że ojciec nie chce wyprawić wieczoru, tak babcia zmiękła, kazała nam być dobrej myśli, i powiedziała że jutro przyjdzie naradzić się z mamą byle Elcia była zdrowa. A my już wiemy co to znaczy.

— Ale ja nie mam szarf — westchnęła chora, której ta ważna troska wszystkie inne usunęła z myśli.

Stanisława spojrzała na nią z nowem zdumieniem byłaż to ta sama istota co przed chwilą tak smutnie w kilku słowach żegnała się z życiem. Tym czasem Józia mówiła dalej.

— O ja jestem dobra Elciu, lepszą od ciebie. ja mówiłam o twoich szarfach, a że jesteś faworytką babci, która powiada że tobie jako najstarszej wszystko się należy, bądź pewna że prędzej je mieć będziesz jak ja swoje buciki.

— Babcia jest taka dobra, zawołała Eligija.

— Zapewne że kołą babci to się opłaci poskakać, odparła Józia, to nie tak jak z ojcem, który nigdy nic dla nas nie zrobi.

Mówiła to otwarcie, nie zadając sobie żadnego przymusu dla obcej kuzynki, nie dbając wcale że tym sposobem, wtajemnicza ją w sekreta domowe. Widocznie uważała ją za należącą do rodziny, lub też nie miała pojęcia o oględności, jaką nakazuje delikatność, a w braku jej wychowanie. Józia myślała głośno, nie troszcząc się bynajmniej o to jakie dać mogła wyobrażenie o sobie lub ojcu.

— Tak, tak, dzięki babci będziem miały wieczór, cieszyła się głośno Leosia, udzielając młodszym siostrom szczegóły swoich odwiedzin.

Wśród ogólnego zadowolenia, nadszedł sam pan Kalasanty. Rzucił wprawnem okiem po obecnych, a ponieważ znał doskonale swoją rodzinę, domyślił się że jego dyplomacya, odniosła pożądany skutek. Wzrok jego zatrzymał się też odrazu na Stanisławie, która blada i znużona, siedziała ze schyloną głową przy łóżku Elci.

Ona także usłyszała męzkie kroki, i domyśliwszy się po ciszy jaka zapanowała nagle w gwarnym pokoju, powrotu wuja, powstała.

— Jestem Stanisława Olska córka twojej siostry wuju — wyrzekła zbliżając się do niego.

Pan Kalasanty chciał zwyczajem swoim odpowiedzieć jednem z tych szorstkich słów, które miał zawsze w pogotowiu, ale spotkawszy spokojne, smutne i poważne oczy siostrzenicy, zawahał się i odparł po prostu:

— Aa... Stasia, córka Anielki.

Imię to przyszło mu na pamięć z lat dawnych, wymówił je prawie nie chcący, może postać dziewczyny przypomniała mu ubiegłe lata i wywołała w myśli, obraz tak długo zapomnianej siostry.

— Po kimże nosisz żałobę, zapytał, bo związki rodzinne tak zupełnie były pomiędzy niemi zerwane, iż tego nawet nie widział dokładnie.

— Matka moja umarła przed kilku laty a teraz straciłam ojca, odparła cicho.

Wuj skrzywił się nieznacznie.

— Masz tobie — pomyślał — spadła mi na kark na zawsze.

Przecież wrażenie to zachował dla samego siebie, sierota nie wiedzieć czemu wywierała na niego wpływ jakiś, wahał się przemawiać do niej jak to czynił do swoich córek, przecież Stanisława odgadła zapewne myśl jego bo wyrzekła:

— Czuję dobrze iż nie mam żadnego prawa do twojej gościnności wuju, i będę się starać jak najkrócej jej nadużywać, masz tyle własnych dzieci.

— Ależ — zawołał zawstydzony i zakłopotany zarazem Drobiński—jestem twoim najbliższym krewnym, słusznie udałaś się do mnie, z resztą cóżby świat powiedział...

— Oh! mój wuju, cóż mnie świat obchodzi, ja nie należę do niego.

Słowa te były tak nowe dla Drobińskiego, iż nie zrozumiał ich wcale, i spojrzał na młodą dziewczynę z widocznem zdziwieniem, w każdym razie one nadawały jej nad nim pewną przewagę, świadczyły o istnieniu potęgi której pan Kalasanty się lękał a która obojętną była dla Stanisławy.

— No dobrze, dobrze — wyrzekł chcąc przerwać rozmowę biorącą ten obrót—dawno przyjechałaś?

— Już parę godzin wuju.

— Spodziewam się żeś odpoczęła, żeś się posiliła, czy pamiętałaś o tem Pelagijo?

Żona zagadnięta w ten niespodziany sposób, milczała spuszczając oczy a Stanisława chcąc uprzedzić domową burzę zawołała:

— Nie byłam wcale głodna.

— No, to dobrze, odparł udobruchany, nie wchodząc czy siostrzenica mówiła prawdę czy też kłamała przez grzeczność, rad że uczynił zadość pozornym obowiązkom.

Tymczasem na rozkaz pani jedyna domowa służąca z pomocą stróża zniosła z góry starą sofę, mającą służyć za posłanie dla nowo przybyłej. Była tak poszarpana i brudna iż na jej widok pan Kalasanty zawstydził się trochę chociaż sam przeznaczył ją dla siostrzenicy. Prawda iż kiedy to czynił nie znał wcale Stasi, a Stasia była zupełnie inną niż to sobie wyobrażał, a nawet nie podobną do wszystkich kobiet jakie znał dotąd. Pan Kalasanty był złym, skąpym, egoistą, nikt go jednak głupim nazwać nie mógł, i pod swoją szorstką, rubaszną powierzchownością, krył on subtelny zmysł obrachowywania ludzi.

— Hm! wyrzekł mierząc niepewnem okiem na przemian siostrzenicę i sprzęt świeżo przyniesiony, nie bardzo ci tu będzie wygodnie, ale dziś dopiero dowiedziałem się o twoim przyjeździe, nie miałem czasu przygotować.

— Nie mam prawa nic wymagać mój wuju, odparła z obojętną dumą sierota.

Pan Kalasanty zrozumiał doskonale ten odcień.

— No, wyrzekł, tymczasem niech która z młodszych dziewcząt odstąpi kuzynce łóżka, ty Leosiu będziesz spała na sofie.

Na ten rozkaz dziewczyna skrzywiła się bardzo widocznie.

— Przepraszam cię mój wuju, przerwała z żywością Stasia, to być nie może.

— Jak to być nie może kiedy ja tak każę, oburzył się pan domu.

— Tu o mnie chodzi, a ja nie pozwolę by Leosia miała przykrość z mego powodu.

Ja nie pozwolę —pierwszy to raz w życiu pan Kalasanty usłyszał podobne słowa wymówione we własnym domu, w jego obecności i przeciw jego woli. Wstrząsnął się cały i już gotów był wybuchnąć kiedy spotkał spokojne lecz energiczne, pewne spojrzenie Stasi i umilkł. Bądź jak bądź, dziewczyna była w swoim prawie, chodziło o nią. Dotąd jednak domowy tyran niczyich praw uznać nie chciał.

— Ha, rzekł wreszcie machając ręką, to wasza rzecz, róbcie sobie jak chcecie.

I unikając dalszych porażek wyszedł z pokoju, umyślnie zapewne nie zważając na starszą córkę, gdyż lękał się nowych skarg żony lub próśb o doktora, nie chciał na pierwszym wstępie ukazywać podobną minę siostrzenicy. Z tego także powodu nie wszczynał przy herbacie rozmowy o imieninowym wieczorze, ale niecierpliwa Józia nie rozumiejąca wcale tej dyplomacyi ojca, zawołała:

— Ojcze, byłyśmy u babci.

Oczy pana Kalasantego zamigotały nieznacznie.

— Babcia daleko lepsza od taty.

— Doprawdy, odparł ironicznie, czy dla tego że babcia wszystkim waszym fantazyom dogadza, a ja tego nie mogę uczynić.

— Tata nie chce, przerwała uszczypliwie córka.

— Ha, babka wyprawia wam wieczór, nie prawdaż? O cóż wam więc chodzi, czy nie będziecie miały czego pragniecie czy co?

— No tak, wyrzekła pobita tym argumentem Józia, będziem miały ale z łaski babci.

— Mniejsza o to z czyjej łaski byleście miały, mruknął ojciec, na to w życiu nigdy zważać nie należy. A potem obracając się do Stanisławy zapytał:

— A ty mała lubisz wieczory?

— Nie wiem, nie byłam nigdy na żadnym, nie miałam na to czasu.

— No to zobaczysz.

— Zapominasz wuju że jestem w żałobie, odparła wskazując oczami swoją czarną suknię, a potem...

— A potem co?

— Ja powinnam myśleć o chlebie nie o zabawie.

— Co tam próżno gadać, jedz chleb skoro ci go dają, boć go przecież nie zapracujesz sama.

— Przepraszam cię mój wuju, zapracować go muszę.

— Ciekawym jak?

— W Siedlcach dawałam lekcye początkującym dzieciom.

— I dużoś zarabiała?

Wielkie oczy Stanisławy mignęły błyskawicą i zaszły łzami.

— Nie wiele, odparła, bardzo nie wiele, ale w ostatnich czasach wraz z chorym ojcem żyliśmy tylko z tego.

Tu znowu pan Kalasanty gotów był zrobić pogardliwą uwagę, iż życie to musiało być bardzo liche, ale znów wstrzymał się nie wiedzieć dla czego.

Stasia widocznie siliła się ukryć łzy cisnące się do oczów, potrafiła zapanować nad niemi i z pozornym spokojem wyrobionym wolą piła cienką her batę skąpo rozlewaną przez panią Pelagiję.

(d. c. n.)

Przy Kolebce!

PRZEZ

Anastazyę Dzieduszycką.

(Dalszy ciąg).

VIII.

Nauka poglądowa, w pojęciu jakie do niej przywiązaliśmy, nietylko rozwija zmysły i umysłowe dziecka zdolności i uczy ich stosownego użycia, ale wzbogaca też jego umysł wielką ilością nader potrzebnych i cennych wiadomości, ma przeto wartość nietylko przygotowawczą ale i bezwzględnie dodatnią. Niemniej nie zawiera ona sumy wiadomości dziecku potrzebnych i wcześnie należy sobie postawić i rozwiązać pytanie, kiedy należy zacząć uczyć dziecko tego, czemu jedynie dawniej dawano nazwę nauki, a mianowicie: czytania, pisania i rachunków.

Froebel i wielu pedagogów teoretycznych, radzą do siódmego roku te nauki odłożyć: zgadzam się z nimi o ile mają na myśli naukę szkolną i dzieci które przed wejściem do szkoły ani w rodzinie ani w ochronce do nauki przygotowanemi nie były. Tam bowiem gdzie wielką liczbę dzieci uczyć potrzeba jednocześnie, a przeto trudno naukę zastosować do sił i uzdolnień jednostek, słusznem jest zastosowywanie się do słabszych fizycznie i umysłowo dzieci, do szkoły w której nauczyciel nie może się zająć wyłącznie każdym uczniem, musi dziecko przychodzić w wieku, w którym władze jego umysłowe słabiej

są rozwinięte, i takie z nauki zbiorowej korzyści nie odniesie; wreszcie często się zdarza, iż dzieci warstw niższych społeczeństwa, w skutek zaniedbania płynącego bądź z niemożności, bądź z niedbalstwa i nieumiejętności rodziców, w siedmio-leciech o wiele są poradniejsze od dzieci tegoż wieku ze światlejszych rodzin, lecz przytem nie lepiej są przygotowane do nabywania nauki, jak dzieci cztero lub pięcioletnie, nad których rozwojem umysłowym w rodzinie pracowano.

Zdaje mi się przeto, że dzieci oddawane od trzeciego roku życia do ogródków Froeblowskich lub innego rodzaju dobrze prowadzonych ochronek, mogą tamże zacząć uczyć się czytać, pisać i rachować gdy pięć lat ukończą: dzieci zaś w domu pod okiem światłej matki chowane i przez nią kształcone, mogą być po 3 leciech skończonych, niemal jednocześnie z rozpoczęciem nauki poglądowej wprawiane do czytania, naukę zaś pisania i rachunki po piątym skończonym roku należy z niemi rozpocząć. Froebel twierdzi wprawdzie, iż litery jako znaki umówione trudno dziecku uprzytomnić i dla tego do lat siedmiu naukę ich zwleka; niemniej nie pojmuję dla czego ma być niemożliwem wytłomaczenie dziecku że znak *a* wymawia się, to jest nazywa się *a*, jeżeli co chwila uczymy go nazw, znaczenia, własności istot lub rzeczy które nieprędko pozna albo nie pozna nawet wcale (murzyn, słoń, anioł) poprzestając na ich wizerunku: kiedy nawet mówimy mu o pojęciach oderwanych jak zło i dobro, rzecz godziwa i niesłuszna, obowiązek, grzech i zasługa, sprawiedliwość i t. d. których mu zmysłowo przedstawić nie jesteśmy w stanie.

Pożytki wcześnie zaczętej nauki czytania wielorakie są i łatwe do poznania: pojęcie dziecka pięcioletniego, a tem bardziej siedmioletniego o tyle już jest rozwinięte, iż z przyjemnością i pożytkiem czytać może. Dobrze jest przeto gdy dziecko w tym wieku nie potrzebuje się łamać z trudnościami nauki czytania, które już przecież w młodszych latach zwalczone zostały, a używa samych przyjemności wypływających z nabytej nauki, co go zachęca do przezwyciężania trudności napotykanych przy nauce w ogóle, w nadziei nowych przyjemności jakie mu sprawić mogą.

Dziecię w tym wieku umiejące już czytać, nie pamięta chwili życia w którejby się nie uczyło, i cały czas zabawie jedynie poświęcało; a zatem nauka, praca, obowiązek, przedstawiają mu się jako części składowe życia, równie niezbędne jak przyjmowanie pożywienia, sen, zabawa. A to przekonanie jest szczególnie zbawiennem dla dzieci żywych, krnąbrnych, gwałtownych, które w późniejszym wieku trudno do pracy znaglić, a które wcześnie do niej przyzwyczajone oporu nie stawiają.

Wreszcie wcześnie zacząwszy uczyć dziecię, nie ma potrzeby przeładowywać je nauką, można ją stosować wyłącznie do sił jego i uzdolnień. Przeciwnie zaczynając ją dopiero w siedmiu leciech, chwili wytchnienia dać mu nie można będąc ciągle zmuszonym do oglądania się na lata obowiązkowej nauki i przepisy szkolne. Dla tych wszystkich powodów zdaje mi się, że po 3 latach skończonych, matka sama kształcąca swe dziecię, może niemal jednocześnie z nauką poglądową zacząć naukę czytania, między czwartym a piątym rokiem naukę pisania, po pięciu skończonych naukę, rachunków. Zbytecznem będzie dodawać jak należy, tak wcześnie zacząwszy naukę, udzielać jej powoli i ostrożnie, w jaką przyjdzie się uzbroić cierpliwość, jak się ją będzie przerywać przy najmniejszem dziecka niezdrowiu, jak nie należy oczekiwać szybkich postępów, pamiętając iż zaczyna się ją tak wcześnie nie tyle dla nauki samej, jak dla jej zbawiennych moralnych wpływów o których wyżej mówiliśmy, jak nawet w obec dłużej trwającego braku wszelkiego postępu, zniechęcać się nie należy, pomnąc, że proces pojmowania, w tak młodych umysłach, odbywa się nader powoli, wstrzymanym i zawieszonym bywa niejako przez czas jakiś, aby potem nagle dać niespodziewanie obfite owoce.

Lecz im wcześniej zaczniemy naukę czytania, tem niezbędniejszym będzie trafny wybór metody i jej umiejętne zastosowanie. Wzmianka o metodzie w obec nauki tak początkowej, tak ogólnie znanej, ma wszelkie pozory pedantyzmu, lecz są to pozory tylko przy uczeniu młodzieży dorastającej. Użycie metody mylnej, może nie sprowadzić bardzo zgubnych następstw, bo umysł jej już rozwinięty jest nieraz w stanie wypełnienia braków i opanowania pomimo nich przedmiotu, przeciwnie małe dzieci są umysłowo nieradne, zła przeto lub źle użyta metoda krępuje zupełnie zdolności dziecka, uniemożliwia wszelki ich rozwój, wszelki w nauce postęp.

Dwie są główne, krańcowe że tak powiem metody nauki czytania, trzecią nazwałabym pośrednią. Pierwsza jest dawna metoda zgłoskowania (syllabizowania) polega na nauczeniu dziecka całego alfabetu, poczem wymaga odeń łączenia głosek (liter) w zgłoski (sylaby) we wszelki możliwy sposób ażeby po dłuższem w tem ćwiczeniu, przejść do łączenia zgłosek w wyrazy. Wadą jej główną, że jest nader nudną i nużącą; dziecię bowiem powtarza przez czas długi zgłoski bez znaczenia: ba-be-bi bo-bu-by i t. d. niewiedząc do czego go to ćwiczenie doprowadzić może.

Druga, najnowsza metoda: „Doraźnego czytania" zależy na prowadzeniu dziecka nie indukcyjnie od pierwiastków czyli głosek (liter) do zgłosek, wyrazów i zdań, lecz drogą odwrotną, dedukcyjnie rzecz najbardziej złożoną zdanie, rozkładając na jej części wyrazy, te na zgłoski. Nauczyciel chcący tą metodą nauczyć czytać dziecię, mówi mu najpierw zdanie i przekonywa je, że się ono składa z wyrazów; następnie pisze mu wyraz, wymawia go dobitnie wymawiając każdą zgłoską osobno np. *i-dę*, *u-cho*, i każe mu w nich wyszukać brzmień samogłoskowych i-u: poczem je uczy iż brzmienia te i wszelkie inne wyrażają się znakami nazwanemi głoskami lub literami i pisze im znaki brzmień samogłoskowych. Ale dodaje iż wyrazy *idę*, *ucho*, oprócz brzmień i-u, mają brzmienia, dę-cho, te brzmienia składają się z dwóch lub trzech znaczków i piszą się w następujący sposób, poczem po kolei, wymawia i pisze wszelkie zgłoski, złożone ze spółgłosek z samogłoskami. W metodzie tej, chodzi bowiem o to, by nigdy nie wymówić spółgłoski samej, ponieważ wyznawcy jej twierdzą, że ilekroć wymawiamy spółgłoskę dodając brzmienie samogłoskowe np. b-be, to składając zgłoskę b-a ba, postępujemy nielogicznie, potrzebaby bowiem mówić be-a *bea*. Jeżeli zaś chcemy wymówić spółgłoskę bez brzmienia samogłoskowego, wydajemy jeno niewyraźne mruknięcie. Zamiast więc uczyć 42 głosek i następnie kazać składać z nich wszelkie możliwe zgłoski od połączeń najłatwiejszych do trudniejszych przechodząc, uczą wyznawcy: „Doraźnej metody" czytania i pisania pewnej liczby wyrazów typowych, to jest takich w których napotykamy najróżnorodniejsze kombinacye głosek a następnie ile razy dziecię waha się czytając, przypominają mu te typowe wzorowe wyrazy.

Metoda ta grzeszy najpierw przeciw zasadzie która przy każdej nauce koniecznie szanować należy, a która każe iść od rzeczy prostych i łatwych do trudniejszych i złożonych: powtóre musi się zrazu posługiwać środkami sztucznemi, np. chcąc nauczyć czytania wyrazu *dom*, mówi: znacie zgłoskę *do*—znacie drugą *om*: otóż wyraz dom składa się z tych dwóch zgłosek. Ponieważ jednak wymawiamy *dom* a nie *doom*, należy jedno *o* wyrzucić i zostanie nam brzmienie *dom*. Nadto, gdy większą część głosek wyraża te same brzmienia, a zatem dziecię nauczone dawną metodą czytania w jednym języku, ma już przez to samo ułatwioną naukę czytania we wszystkich językach używających tego samego alfabetu: przeciwnie zgłoski urabiają się z głosek w sposób każdemu językowi właściwy np. *de* utworzone w polskim języku z *d* i *e*, po francuzku tworzy się z głosek *d-a-i-n* albo *d-i-n*, same zaś spółgłoski *d* i *n* jedno i to samo w obu językach mają brzmienie.

Dalej doświadczenie matek i nauczycieli przekonało ich, że tylko osoby wybornie znające tę metodę i mające w jej wykładaniu, wielką, niełatwą do nabycia wprawę, mogą, z jakiem takiem powodzeniem jej używać, wcale się jednak nie spodziewając, aby z jej pomocą dzieci w krótkim przeciągu czasu miały się czytać nauczyć i nieraz będąc zmuszonemi do uciekania się do dawnej metody. Wreszcie trzymając się jak najściślej zrazu nowej metody, zmuszonym się jest wreszcie skończyć na tem, od czego dawna zaczyna, to jest na nauce całkowitego alfabetu, bo tego wymaga nauka gramatyki, pisowni, użycie słowników i t. d. uczący nią przeto robią mu wrażenie osób któreby szły do celu obróciwszy się doń plecami i cofając się w tył. Dodać jeszcze należy, że tą metodą nie sposób uczyć dzieci nie mające co najmniej lat siedmiu, bo młodsze nie będą w stanie ani rozróżnienia w brzmieniu złożonem brzmień pojedyńczych, ani rozbierania zdania na wyrazy, wyrazów na zgłoski, ani pisania dość biegłe, by niezręczność w stawianiu głosek nie wstrzymywała postępów w czytaniu.

Trzecia metoda, którą pośrednią nazwalibyśmy, a za najstosowniejszą uważamy, polega na tem, by dziecku pokazać samogłoskę i powiedzieć mu: patrz oto ten znaczek nazywa się *a* lub *ɑ*, ten drugi *b*, a gdy dziecię to zapamięta, co z łatwością mu przyjdzie, bo i w nauce poglądowej ciągle mu się pokazuje znaczki czyli obrazki i uczy ich nazwisk, tak że samo te litery z pomiędzy wielu innych wyszuka i w książce je wynajdzie, przysunąć literę *b* do litery *a* (przypuszczam że są to litery na kartonie malowane i wycinane) i dodać *b* i *a* jeżeli koło siebie stoją czytają się b-a-ba; gdy dziecię to trafnie powtórzy kilka razy, mówi się mu, patrz już potrafisz przeczytać słówko i układa się obok siebie *b-a-b-a*; dziecię czyta i cieszy się niezmiernie, gdy po tak krótkiej nauce przeczyta wyraz śmieszny dlań: *baba*.

(*d. c. n*).

HERNANI

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

W. HUGO.

Przełożył Klemens Podwysocki.

(Ciąg dalszy).

SCENA III.

Ciż. Dona Sol, pazie, paziki, kobiety.

Don Ruy Gomez (*kończąc*).

— Oto moja Madona! Czołem przed nią! Ona
Da ci szczęście!

(wstaje, by podać rękę Donie Sol).

O, witaj, moja narzeczona!
A pierścień twój? Korona z książęcym klejnotem?

Hernani (*głosem piorunującym*).

Kto od króla chce tysiąc karolów mieć złotem?

(wszyscy zwracają się ku niemu zdziwieni).

Jam Hernani!

Dona Sol (*n. s. z radością*).

O, Boże!... On żyje!...

Hernani.

No, stoję
Ja, szukany, przed wami!

(do księcia).

Jakież imię moje?
Co?... Perez albo Diego? — Hernani! — Zaszczyty
Z imieniem tem związane... To imię bandyty,
Wygnańca!... Mości książę! — Oto masz tę głowę!
Dość złota za nią weźmiesz na koszta godowe!

(do służby).

I wy ją wziąć możecie! Bierzcie — to łup drogi!
Bierzcie! Zwiążcie mi ręce! Okowy na nogi!
Lecz co mówię?... Oddawna noszę już kajdany
Nieskruszone!...

Dona Sol.

Rozpaczy!...

Don Ruy Gomez (*do służby*).

Warjat! Opętany!
Gość mój — warjat!

Hernani.

Nie! gość twój—bandyta! Słyszycie?

Dona Sol.

Nie wierzcie mu!...

Hernani.

Bandyta! — Zawierzcie bandycie!

Don Ruy Gomez.

Tysiąc karolów złotem!... Summa znaczna, bracie,
Nie mogę więc zaręczyć za wszystkich...

Hernani.

Więc macie!
Macie tysiąc karolów! Bogactwo z tą głową!
No, zwiążcie mię! — Wydajcie!

Don Ruy Gomez (*usilując zniewolić go do milczenia*).

Złapią cię za słowo!...
Milcz, na Boga!

Hernani.

To zręczność arcyznakomita!
Słyszycie? Jam wygnaniec! Słyszycie? Bandyta!
Hernani!

Don Ruy Gomez.

Milcz!

Hernani.

Hernani!

Dona Sol (*głosem rozpaczliwym mówi mu do ucha*).

Zaklinam cię, luby!

Hernani.

To ślub? Dobrze! Podwójne wyprawimy śluby!
I ja mam narzeczoną!

(do księcia).

Nie tak piękna ona
Jak twoja, lecz w wierności nie mniej doświadczona!
To śmierć!

(do służby).

I cóż stoicie, jak rażeni grzmotem?

Dona Sol (*cicho*).

O, litości!

Hernani.

Hernani! Król osypie złotem!...

Don Ruy Gomez.

To szatan!

Hernani (*do jednego z pazików*).

Pójdź! Tyś młody! Przyszłość ciebie czeka!
Weź to złoto! Z pazika wyjdziesz na człowieka!

(do reszty stojących bezwładnie).

I wy wszyscy? Co? Drżycie?... Zawielki gniew Boży!

Don Ruy Gomez.

Kto sięgnie po twą głowę, swoją tu położy!
Bądź Hernanim, czemś gorszem jeszcze!... Mniejsza [o to!
Za głowę twą niech dają cesarstwo nie złoto,
Tyś gość mój!—Ja cię bronię! Cześć ojców mi droga!
Królowi cię nie wydam, bo mam cię od Boga!
To życie,—za włos jeden z twej głowy strącony!

(do Dony Sol).

Synowico! Za chwilę dam ci miano żony!
Wróć do siebie! — Ja zamek rozkażę dokoła
Uzbroić, bramy zamknąć...

(wychodzi, służba idzie za nim).

Hernani (*ogląda z rozpaczą swój pas odarty z broni*).

Ni noża! Nic zgoła!

(Dona Sol, po wyjściu księcia, posuwa się naprzód kilka kroków, jakby wychodząc wraz z kobietami, a skoro te wyszły, powraca do Hernaniego z rozpaczą).

SCENA IV.

(Hernani patrzy czas jakiś obojętnie na bogate klejnoty ślubne, leżące na stole, następnie podnosi czoło, podchodzi do Donny Sol i wzrok mu rozpłomienia się)

Hernani.

— Winszuję! Wszystko piękne! Wszystko mię za- [chwyca!
I olśniewa! To przepych! Świecideł skarbnica!...

(zbliża się do klejnotów)

— Pierścień piękny! Korona mi się też podoba!
Naszyjnik — pyszny wyrób! Ta ręki ozdoba —
Jest rzadką! Mniej jednakże, mniej niż białogłowa,
Co pod czołem promiennem czarne serce chowa!

(oglądając zawsze szkatułkę)

Co dałaś jemu pani za pióra te pawie?
Odrobinkę miłości?... To za bezcen prawie!...
— Tak zdradzać — i żyć potem mieć czoło!... Mój Boże!...

(patrząc jeszcze na klejnoty)

Lecz te perły, świecidła — fałszywe są może?...
Szych nędzny zamiast złota — i brylanty owe
I szafiry — i wszystko... O, na moją głowę!
Jeźli tak jest, to równie jak to wszystko oto —
Twe serce jest fałszywem, ty — złudną pozłotą!

(wraca znowu do szkatułki)

Lecz nie! nie! — Wszystko dobre i piękne! On sobie
Fałszerstwa nie pozwoli!... On, na poły w grobie!...
Wszystko piękne!

(bierze po kolei do ręki każdy klejnot)

Naszyjnik, brylanty, korona —
Pierścień złoty, kolczyki!... Przepysznie spłacona
Miłość pani gorąca, wierna!... Oczy pieszczę
Tym blaskiem!...

(Dona Sol idzie do szkatułki i po chwili dostaje z niej sztylet)

Dona Sol.

Ale do dna nie zajrzałeś jeszcze!...
To ów Don Karlosowi sztylet wychwycony,
Gdy u nóg moich składał tron i blask korony,
Odrzuconej dla tego, kto mię dziś znieważa!

Hernani, (*padając jej do nóg*).

O, pozwól mi na klęczkach, jak u stóp ołtarza,
Osuszyć łzy twych powiek, boleścią urocze!...
A potem, za te perły, krew swoję wytoczę!..

Dona Sol, (*wzruszona*).

Kocham cię — i przebaczam! W głębi tego łona,
Prócz miłości, nic nie ma!...

Hernani.

Co? ona
Przebacza mi i kocha?... Jaż przebaczę sobie —
I kochać będę siebie, po wszystkiem co robię
I mówię tu?... Anielski gościu między nami!
Wskaż mi stopek twych ślady! Wyssę je ustami!...

Dona Sol.

Kochanku!

Hernani.

Tyś powinna gardzić mną! Lecz święta!
O, powtórz: „kocham ciebie!" Zdejm zwątpienia pęta
Z mej piersi!... Powiedz: „kocham!" To słówko, aniele,
Z ust kobiety, trosk ciężkich leczy wiele, wiele!

Dona Sol (*w zadumie nie słysząc słów Hernaniego*)

Sądzić że miłość moja tak wątłej pamięci!...
Że ludzie ci zdołają, w dumie swej zawzięci —
Bezduszni, skłonić łatwo do innej miłości,
To serce, w którem imię jego z dawna gości!

Hernani.

Niestety!... Jam ci bluźnił!... O, na miejscu twojem,
Jabym się takim dziwnym zmęczył niepokojem —
I wzgardził już szaleńcem, co nawet nie zdoła,
Bez płonnych obelg zgrzytu, upieścić anioła!...
Ja rzekłbym: „precz mi z oczu!" — odepchnij mię, [proszę!
Za wielkie już mi dałaś, za wielkie rozkosze!
Zbyt długo mię znosiłaś, zbyt długo... I po co?
Ja dni twoje słoneczne zamglę swoją nocą!...
To zawiele!... Twa dusza niebo przypomina
Na ziemi, a jam — szatan! — Czyż twoja w tem [wina?
Idź za księcia! On dobry! — On dzierży wspaniale
Po matce swej — Olmedo, po ojcu — Alkalę!
Cios jeszcze w pierś tę! Bądź z nim, szczęśliwą, ko- [chaną!
Ta ręka szczodra, wiesz-że, jakie pyszne wiano
Da tobie?... Oto dziecię biedne: — niepokoje!
Do wyboru mieć będziesz—łzy lub krew!... To moje!..
Wygnanie, więzy, trwoga i śmierć zaczajona —
To naszyjnik twój złoty, twa ślubna korona!
I któryż oblubieniec dumny, ubrać zdoła
W taki wieniec skroń śnieżną swojego anioła? —
Don Silwa godzien ciebie! Bądź starcowi rada!
Czyż ta głowa bandyty, wygnańca, przypada
Do śnieżnej twej postaci?... Kto nas widząc społem,
Ciebie, dobrą i piękną, mnie, z szatana czołem —
Ciebie w cieniu rosnącą jak ów kwiat wspaniały,
I mnie którego furye burz, wichrów szarpały —
Któż powie, że na wspólne życie nas stworzono?..
Bóg, w rządach swoich dobry, przeznaczył twe łono
Nie dla mnie!... Ja się korzę przed wyrokiem Nieba!
Mam twe serce?... To kradzież! — Godniejszemu [trzeba
Je zwrócić! Miłość nasza dla niebios jest — szałem!
Jeślim losem ją twoim nazywał — kłamałem!..
Zresztą — zemsto! miłości! — Zmilknijcie! Już [schodzę
Ztąd — bezsilny, bezwładny, zawstydzony srodze!...
Marzenia me podwójne: zemsta. miłość — ginie! —
Mnie mścić kazać?—Ja—kochać umiałem jedynie!...
Przebacz mi — i uciekaj ode mnie! To moje
Dwie prośby, już ostatnie!... Uczcij je! Ja stoję
Nad grobem, a ty żyjesz, żyć będziesz!... Czyż tobie
Nie żal ze mną się żywcem zamurować w grobie?...

Dona Sol.

Niewdzięczny!

Hernani.

O, Arragonii, Galicyi góry!
Estramaduro! Śmierci jam zwiastun ponury!
Zabrałem dzieci wasze, kwiat młodzi zabrałem
Do walki za mnie! — Wszyscy polegli z zapałem!
To rycerzy hiszpańskich było szczere złoto!
Nie żyją! — Leżą wszyscy, wszyscy w górach oto!...
W niebo zwrócone twarze bez skazy, przezroczy
Lazur zda się wyglądać, czy otworzą oczy?...
Tak zginąć wszystko musi, co zwiąże się ze mną!
Taka przyszłość dla ciebie byłażby przyjemną?
Dona Sol! Poślub księcia, piekło, króla twego!
We wszystkiem, co mną nie jest, napotkasz mniej [złego!
Na grobach stoję! — Wszystko co moje, sam grzebię!
I wszystko mię opuszcza!... Dziś — kolej na ciebie!
Samotność — los mój! Odejdź! Ja zarazą wionę!
Tak!... Nie czcij twej miłości, jak niebem natchnione
Uczucie!... O, miej litość nad sobą! Bo oto. —
Myślisz, że jestem ludzką, rozumną istotą,
Która ma cel przed sobą, drogą idzie jedną?
O, mylisz się, Aniele! Jam siłą bezwiedną!
Losów czarnych, tajemnych jam narzędziem głuchem
I ślepem!—Jam nieszczęcia, jam ciemności duchem!...
Dokąd idę? — Sam nie wiem. Idę popychany
Przez tchnienie jakieś dziwne, silne jak orkany!...
I spadam w dół — a nigdy wstrzymać się nie mogę,
I jeźli wzrok odwrócę na przebytą drogę,
Głos wielki woła: „dalej!" A otchłań głęboka...
A w głębi jej — płomienie lub ze krwi posoka!
Po drodze, kędy stąpię, wszystko ginie, pada!
Kto dłoń ku mnie wyciągnie stokroć temu biada!...
Uciekaj nie idź za mną! Nie idź, dziecię lube!
Ta ręka ci bezwiednie może przynieść zgubę!

Dona Sol.

Boże Wielki!

Hernani.

Mój demon — strasznym jest demonem!
Wszystko może — i jedno, co mu jest wzbronionem,
To me szczęście! — A tyś jest, szczęściem ukochana!
Tyś nie dla mnie! Innego weź na męża, pana!
Jeźli niebo zabłyśnie dla mnie szczęścia chwilką,
Takiemu szczęściu nie wierz!—To żart będzie tylko!..
Idź za księcia! —

Dona Sol.

Ha!... Jeszcze!... Dręczysz mię zbyt srogo.
Rozdarte wprzódy serce, teraz zgniatasz nogą!
O, ty mię nie kochałeś! —

Hernani.

Dusza, serce moje
To ty! — I w tobie wszystkich uczuć moich zdroje!
Nie sarkaj, że opuszczam ciebie ukochana!

Dona Sol.

Nie sarkam, ale umrę bez mojego pana!

Hernani.

Umrzesz?!... I twojej śmierci jaż mam być przy- [czyną?
Takie nic?...

Dona Sol (*wybuchając płaczem*).

Oto wszystko!

Hernani.

Perły z ocz twych płyną!
Jam to sprawił!... I któż mię skarze za to, zgniecie?
Bo ty mi znów przebaczysz!—Któż ci powie, dziecię,
Ile cierpię nieszczęsny, gdy te śliczne oczy,
W których niebo swe widzę, powódź łez zamroczy?
Wszyscy moi zginęli! Mózg mi zgryzot fale
Zalały! Chciałbym kochać, lecz nie umiem wcale!
A jednak, miłość wielka piersi mi oplata...
Nie płacz! — Umrzyjmy raczej! — Czemuż nie mam [świata,
Bym u nóg twych go złożył?... Nieszczęsne zapały!

Dona Sol (*rzucając się w jego ramiona*).

O, Hernani! Tyś lew mój szlachetny, wspaniały!
Kocham ciebie!

Hernani.

Rozkoszy nie byłoby w niebie
Nad miłość, gdyby nadmiar jej zabijał!...

Dona Sol.

Ciebie
Kocham tylko! Być twoją, nikt mi tu nie wzbroni! —

Hernani.

Jakiem szczęściem śmierć dla mnie byłaby z twej [dłoni!

Dona Sol.

Panie mój! — Czyż się gniewu nie obawiasz Boga,
Tak mówiąc?...

Hernani.

Więc niech Bóg ten—połączy nas droga!
Chcesz tego, niech tak będzie! — Nie moja w tem [wina!...

(Padają sobie w objęcia i patrzą w siebie z zachwytem; — nic nie słyszą, nie widzą — cali są wzrokiem. Przez drzwi środkowe wchodzi Don Ruy Gomez — patrzy na nich — i zatrzymuje się, jak skamieniały na progu).

(*d. c. n.*)

LIST SZOSTY

DALEKI ZACHÓD

w Ameryce północnéj

PRZEZ

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Litujmy się więc raczej aniżelibyśmy ganić mieli tych ślepców umysłowych i męczenników bezwinnych bo jeśli nie zachowywali przepisów katowskich, gwałcących rodzinne potrzeby ich życiowe, to słuszność mieli za sobą. Rozpacz bezgraniczna zbudziła rozwścieczonego ich ducha do zdrady — do rozsiewania w okół mordów i pożogi, aż jedyną pociechą dla serc krwawiących stał się zwycięzki skalpel, a niekiedy i szarpanie kłami pieczonych trupów blado twarzych!

Szczątki tych ofiar niesłychanego w dziejach męczeństwa pojmane i zakute w więzy straciły ducha do tej pory. Nieszczęśliwe stworzenia boże upakowano — literalnie — w jednym z dziedzińców tej twierdzy, gdzie śpią i jedzą we własnym nurzając się kale — a mimo tego duma i pogarda biało-skóremi nie opuszcza dzielnych owych mężów ani na chwilę; nader rzadko wymknie im się jakieś słówko z ust wieczyście zwartych, jak gdyby w ponurym tym grobowisku zamarli już od dawna—nigdy westchnienia zbolałej piersi nie roznoszą echa — nigdy żadna skarga nie obija się o czarne mury zamczyska—więzienia!

Otóż to obraz, mniej więcej podobny, gorszy stokroć może od wyklętej niegdyś Sodomy z Gomorą a Herkulanum z Pompeją. Przedstawcie sobie wy— co macie serca nie kamienie w łonach, jak piekielnemi muszą być męczarnie tych swobodnych jak ptaszki które Bóg karmi, tych wolnych niegdyś synów puszczy, tłoczonych wciąż w obrębie ciasnego podwórza, wysoką otoczonego palisadą, a przyznacie wraz ze mną, że dusze łotrowskie jakie podobną zemstę wymyśleć śmiały, nie myśląc o karze niebios — muszą nosić szatańskie serca lucypera.

Ale mąż indyjski, zahartowany w bojach, potrafi też milczeć, choćby mu przyszło zagryźć wargi do krwi: milczy, jak tego wiele w dziejach okazał przykładów, wśród najokropniejszych choćby tortur. To też w zapasach dążących do wygnania wrogów rodu swego cudów dokazywało to plemię dzielne, aż do zdobycia sobie powszechnego a słusznego poklasku całego świata. Cześć mu niech będzie!

Miasteczko Śliwowy Strumień (Plum Creek) przybrało to imię od wstęgi wody sączącej się obok i uchodzącej aby skryć się i przepaść w matczynem łonie Platy, step zaś obubrzeżny tak urodzajnym jest że przemysłowcy założyli tu osadę i pomogli osadnikom w odpowiedniem zagospodarowaniu się na wielkim jej obszarze.

Jednym z tych śmiałków był niejaki Wilhelm Crowford krewniak znanej wam Szkotki, towarzysz dzielący ze mną trudy życia spędzanego niegdyś w N. Zelandyi, o czem napiszę wam też z czasem. Ja wraz ze wspólnikami przygód, gnieździłem się przez ciąg długich godzin — bo całą ostrą zimę — pod kupą siana, o 50 może kroków od pieczary wydrążonej w urwisku skały przez stowarzyszenie, które za zwierzchnika wybrało sobie Billa, jak poufale zwali bliźsi Wilhelma.

Znajomość ich języka, pociąg wrodzony do Szkotów, wielką był mi pomocą do zawarcia serdecznych stosunków z tym człowiekiem. Wreszcie i inna tego była tu jeszcze przyczyna: uczynny górnik wskazał mi pewną mieszcowość w jakiej dokopałem się znacznej kwoty, i zachęcił do niezaprzestawania dalszej w poszukiwaniu złota pracy. Grabarze drogiego kruszcu nie zapominają do grobowych desek podobnej usługi — a choć usposobienie ich dzikiem bywa zazwyczaj, to nie bez właściwych zalet, łatwo skłonić ich duszę zarówno do serdeczności, jak srogiej nienawiści.

Wy—kochany Redaktorze—znający mnie bliżej i dostatecznie wyrozumiali by pojąć, iż żyjąc przez lat tyle, w dziwaczny sposób, między dziczyzną i wśród stepu — zmuszony niejako zostałem przejąć potrosze ich wad i przymiotów, a jeśli wychowanie, praca umysłowa wraz z poczuciami istotnie człowieczeńskiemi, nie dopuszczają rozrodzenia się w sercu mem zemsty dla wrogów niegdy kopalniowych, rozkwitło w niem natomiast cenne ziarnko wdzięczności dozgonnej dla dobrze mi życzących.

Nie dziwcież się przeto nadmiernie iż losy uczyniły mnie więcej niż zwykłym przyjacielem Wilhelma, tak, że gdyby kosztem nawet krwi, dobytej z głębin serca dowieść mi wypadło uczuć jakie żywię dla niego — nie zawahałbym się ani na chwilę umrzeć zań. Z dalszego toku niniejszego listu dowiecie się, że przyszła nareszcie chwila w której mogłem okazać mu swą wdzięczność za usługi dawne. Niestety! Cóż było wynikiem dobrych mych chęci? — mimo że nie ochraniałem osoby własnej, i cudem tylko wyszedłem całym ze sprawy tej, on biedak, zginął marnie!

Sądzę iż nie łatwo przyjdzie zrozumieć, w jaki to mianowicie sposób — po dziesięcio-letniej rozłące — spotkaliśmy się powtórnie w głębi puszcz nebraskich. Bo i w istocie, dla Was zasiedziałców, z których nie jeden wybierając się do Szwajcaryi, płacze gorzko na losy zawistne, zmuszające go do przebycia morza, kiedy w nadzwyczajnej zostaje obawie co do fatalnych wyników sprowadzających dla nieprzywykłych morską chorobę — dla Was mówię, niebywałemi zdać by się mogły dziwaczne przygody, jakim ulega zwiedzający okolice tutejsze lub australijskie i otoczenie w jakiem obracać się zmuszonym bywa.

Wiedzieć też Wam należy, iż Wiljam większą w dziesięćkroć gromadę złota uciułał w Australji,

aniżeli ja, a posłyszawszy ciche szepty o bogatych minach świeżo odnalezionych w Colorado, kraju zaledwie z powierzchowności nam znanego, a może z nazwiska tylko, wybrał się w drogę bezzwłocznie sądząc, że krocie jego wnet przeistoczonemi zostaną w milijony. Niestety! nie tylko że jak wielu innych postradał całkowite mienie, w tej nieznanej wówczas przez nikogo okolicy — lecz i składać „był winien dzięki gorące miłosierdziu nieprzebranemu Stwórcy, że wydobyć się zdołał z owego zaprzepaszczenia bez oskalpowanej czaszki.

Uty i inne hordy barbarzyńców, zdziesiątkowały pierwszą gromadę kopaczy, aż w kilka lat dopiero— gdy stotysięczna chmara bladych twarzy wdarła się przemocą do Colorado, rzec by można w samo serce Nowej Zelandyi, zdołano poskromić rozwścieczonych napaścią mieszkańców.

Bez pieniędzy przeto, bez koni, obuwia, a dobrze że z nieodartą choć łysiną, Wiljam wybrał się znowu na Wschód, do bardziej gościnnych krajów, choć mniej obfitujących w kruszec wzbudzający ludzką pożądliwość.

Główny szlak wędrujących tam, biegł w owych czasach po nad wybrzeżami Platy, a długie szeregi chciwych górników, traperów, rolników —tłumy zbiegłców z całej kuli ziemskiej, wlekły się znużone i głodne, aż do Colorado, Ulah lub Kalifornji. Wzdłuż koryta tej rzeki, nie mówiąc o wodzie, drzewa był dostatek, co ważną rzecz stanowi.

Wiljam Crawford, znużony i wygłodniały, szedł obawiając się ażali starczy mu sił, ażeby dotrzeć choć do osad leżących w Stanie Jowy, gdzie zapracować by mógł na kęs suchego chleba, lecz pewnego wieczoru, przy samem wpadku Plum Creek do Platu, padł nieszczęśliwy tułacz gotując się do rychłej śmierci.

Nagle, daleki tentent kopyt zbudził go z odrętwienia martwego — jakie nam tylko znanem być może, bo zdarza się często pionierom. Nie był to jednak zbliżający się na pomoc przyjaciel, ale wróg srogi i zawzięty blado twarzych najezdzców.

Kilkunastu Indyan z pokolenia „Czerwonej chmury,“ owych strasznych podówczas wrogów białocerego zjawiło się po nad wybrzeżem rzeczki, a oko ich sokole wypatrzyło wnet kryjówkę, wśród wysokiej trawy, i postępując cichaczem śladami stóp człowieka, znaleźli Wilhelma.

Nieszczęśliwy tułacz mawiał mi później, iż rad był po części z odnalezienia tego, choć był pewnym że okrutna śmierć z ich ręki zbójeckiej nieomylnie go spotka: powodem tego była nadzieja, że jakkolwiek postąpić zamierzą z jego głową — to wprzód nakarmią przecie zgłodniałego wędrowca.

Banda tych rozbójników jacy najzaciętszy stawiali opór budowie drogi żelaznej wzdłuż stepu—rozbitą w końcu została przez generała Szermana, owego najumiejętniejszego zapewne wodza St. Zjednoczonych. Czerwona Chmura—naczelnik plemienia— upokorzył się przyjąwszy warunki przez rząd nałożone, i udał się do Waschingtonu dla ostatecznego załatwienia burzliwej tej sprawy z prezydentem Grantem, oraz zawarcia trwałego już przymierza.

Odwiedziny sławetne wojownika dzikiego który własną prawicą zdarł skalpy dwustu prawie białocerom, olbrzymie sprawiły naraz wrażenie w ognisku towarzystwa posiadającego pewną ogładę jaką cywilizacya nadawać zwykła. Garibaldi zjawiający się niespodziewanie w stolicy Brytanji, mniej zapewne wywołał wśród zimnej na wypadki społeczności rumoru, aniżeli Czerwona Chmura w N. Yorku.

Skutkiem tych odwiedzin było poznanie przez Saszema istotnej potęgi europejczyków: zachowywał się też odtąd spokojnie, rozmyślając nawet poważnie czy nie lepiej byłoby urządzić fermę i trzy razy na dobę używać posiłku, aniżeli mordować się w dzień skwarny szaloną pogonią bawołów i pościć częstokroć trzy doby.

Smutny przeto obraz opadłego z ciała kościotrupa człowieka konającego na stepie—wzbudzić już wtedy zdołał szlachetną iskierkę litości w dzikiem ongi sercu Indyanina, mimo zakorzenionego w nich przekonania, iż całkowita ilość siły mięśniowej zgładzonego wroga wstępować ma tajemniczo w ciało mordercy dla tego też właśnie zabijają wszystkich jeńców, jednak tym razem oszczędził twarz bladą, wyziewającą już prawie ducha.

Banda jednak łotrów, widocznie niezadowolniona iż traci skalpę, nalegała uporczywie na wodza by zmienić postanowienie, i kto wie czy Crawford doczekałby był ranka, gdyby nie okoliczność, że po zachodzie słońca, zanim do snu ułożył się, należało mu odmówić modlitwę, wydobył więc biblię kieszonkową jaka nie opuszczała go nigdy, zwyczajem szkockich purytanów, i — jak gdyby żadne nie oczekiwało go nieszczęście, czytać z niej począł głośno.

Wódz — mówiący po angielsku, zrozumiał modlitwę ową, a choć słowa Pisma św. nie rozrzewniły jego ducha, to podobał mu się hart męża odnajdującego w stalowem sercu dość potęgi, ażeby wzgardził cierpieniami ciała i czytał książkę w stanowczej godzinie rozstawania się z życiem, jakie każdemu śmiertelnikowi najdroższym bywa skarbem.

Wiedzieć Wam potrzeba, że Indyanie potrafią oceniać istotną wartość prawdziwego męztwa i rycerskość ducha wraz z pogardą śmierci — gdy więc Czerwona Chmura ukazał im zatopionego w modlitwie Szkota, cała gromada wydała jednogłośny okrzyk podziwu, zgodziwszy się by odszedł cało.

Co więcej, nakarmiwszy dostatecznie biedaka, dzicy odprowadzili go aż do miejsca w którem istniał spory obóz robotników kolejowych, budujących drogę szynową z tak nadzwykłą szybkością iż po 4 mile angielskie wykończali dziennie.

W ciągu pochodu wspólnego, Czerwono Chmury opowiadał wyratowanemu od zagłady ciekawe dzieje żywota swego. Podówczas liczył lat 40 przeszło, a był naczelnikiem głównym pokolenia Su, które to dostojeństwo wywalczył w niezliczonych potyczkach z Pauszeami, Wronami czarnonogiemi, Indyanami, Utami, i wielu innemi szczepami miedziano-cerych— jak niemniej i z bladotwarzemi.

Saszemem niższego stopnia zamianowali go rodacy w dwudziestym już roku życia, za wściekłe męztwo okazane w bitwie nader morderczej: ze stu trzydziestu bowiem wojowników ciężko pracujących w tej rzezi piekielnej, 25 tylko wydostało się z życiem choć ciężko poranionych.

Celował on też w plemieniu wieloma przymiotami. Tak toporem, jak dzidą, łukiem lub sztućcem—a nawet krasomówstwem w naradach, jakiego świetny dowód złożył przy odwiedzinach Waschingtonu, prześcignął wszystkich swych podwładnych.

Całość stroju, który uzyskał później, a jaki tyle rozgłośnym stał się na Wschodzie, składała się wedle opowieści Crowforda, z łosiowej koszuli haftowanej wstążeczkami, włosieniem oraz paciorkami, i paradnych mokasinów. Postawę miał wspaniałą, oblicze ściągłe, czoło myślące, usta szerokie, uszy przystrojone kolczykami, a kości kolanowe podgięte ku środkowi, jak u wszystkich prawie Indyan. Otóż macie dokładny obraz tej osobistości znakomitej!

Wiljam—zająwszy się pracą około budowy kolei, zarobił trochę grosiwa, i mimo ciągłych bójek zdarzających się ze strażą policyjną i robotnikami, a ludem Czerwonej Chmury, umiał zaskarbić sobie łaskę Saszema do tego stopnia, iż ten kilka razy pozwolił mu zwiedzić obóz Indyan nie podejrzywając go, aby chciał się podjąć roli szpiega.

Przyjaciel mój wracając dnia pewnego z łowów, dostrzegł światełka dziwne, niby błędne ogniki — mknące po powierzchni traw, a że dostatecznie obznajmionym już był z owem telegrafem sztucznym Indyan, zrozumiał przeto o co rzecz chodzi.

Świetlne znaki owe, wytwarzanemi bywają za pomocą zwierciadełek na podobieństwo tych jakiemi dzieci chwytają promienie słoneczne, aby je zwrócić na ścianę, a zawiadomiają o ukrytych w pobliżu ziomkach.

(d. c. n.)

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Z Rzymu.

Objechałem pół świata, widziałem i podziwiałem liczne cuda przyrody i sztuki, i byłem najpewniejszy że przeszedłem już wszelkie fazy najrozmaitszych wrażeń, że nic już nowych we mnie wzbudzić nie zdoła, omyliłem się; — wrażenie jakie wywołuje widok grodu Romulusa z żadnem innem porównanem być nie może. Kiedy pierwsze stawiałem kroki na gruncie miasta o siedmiu wzgórzach, głowa moja nie płonęła, dreszcz nie przebiegał po ciele, puls zaledwie kilka więcej liczył uderzeń niż w stanie normalnym, a i te mogły być wynikiem utrudzenia podróżą. Wbrew własnemu przewidywaniu czułem się dziwnie spokojnym, nigdy jeszcze może nie zaznałem takiej pogody duszy.

Byłoż to skutkiem prostracyi zmysłów i pobudzenia intelektualnego, jakie, mocą często przytrafiającego się fenomenu psychologicznego, wywięzują się w obec przedmiotu, na widok którego, wyobraźnia rozgrzana oczekiwaniem gwałtowne zapowiadała nam wstrząśnienie? Czyli też było to łagodne promieniowanie uczucia, które za silnie zawładnęło całą moją istotą, aby mogło objawiać się zwykłemi oznakami, i z którego dopiero w miarę rozwijania się mogłem zdać sobie sprawę?...

Nie wiem. Dość że przekroczywszy próg Rzymu, nie padłem na kolana czoło tarzając w prochu, i nie zawołałem wznosząc ręce ku niebu: Witaj mi, Romo! witaj wiekuiste miasto, przesiąkłe i napiętnowane dziejami tylu pokoleń!... Nie! ja spokojny jak nigdy zacząłem zaraz zwiedzać miejsca których nazwy tak zajmowały młodociane jeszcze myśli moje. I zdało mi się że ulice Romy nie są mi obce, że żyłem w tych murach, że rodzinnem oddycham powietrzem.

Tak błąkałem się godzin kilka, nie troszcząc się czy co widzę i na co patrzę, chodząc bez celu to w prawo to w lewo, i nieraz uderzając czołem o mur lub pomnik.

Przypadkiem doszedłem do Kolizeum. Jakież tu grobowe milczenie!.. jak olbrzymie ruiny. Szczyty koloseum, którego kamienie i cegły poczerniały od gwałtownego światła, odbijają czerwonym, jaskrawym blaskiem promienie zachodzącego słońca, a jednocześnie arkady niższych piętr i wilgotną arenę zaczyna już posępna zalegać ciemność. Po nad cyrkiem unosiły się czarne stada kruków, chrapliwe wydając krzyki, jak gdyby słyszały owo pozdrowienie: *Caesar, moritari te salutant!* i radowały się zapowiedzią uczty z ciała ludzkiego. Dreszcz mnie przebiegł na to straszne wspomnienie.

Więc to tu lud rzymski napawał się ulubionemi widowiskami jakich domagał się od panów; tu gladiatorowie konali, umierając dla rozrywki stu tysięcy krwi chciwych widzów. Tutaj ów Tytus który „żadnego dnia nie chciał stracić“ kazał mordować się wzajemnie więźniom i zwierzętom!... A! jakże to

wybornie bawił się ten motłoch! jak przyklaskiwał męczeństwu chrześcijan, męczeńską ginących śmiercią, za to że *ucywilizowaną* Romę, uczyli poszanowania wolności ludzkiej i miłości bliźniego. Odwróciłem oczy od tego widoku strasznych wspomnień, od tego miejsca przesiąkłego krwią tylu tysięcy ludzi.

W oddali rysują się wielkie cienie termów Karakalli, ząbkowate wieżyce bramy San Sebastiano, pałac San Giovanni in Laterno, San Gregoris, las zgliszcz i ruin. Jednak ruiny te rozrucone wśród stojących pomników, nie cuchną śmiercią jak Koliezum; zdaje się że żyją i oddychają, przebija w nich pewna duma i trwałość; podobne one do starców złamanych wiekiem, ale nie do bezdusznych szkieletów. Nieco dalej, na prawo z pośród łuków drugiego piętra, roztacza się majestatycznie niezrównana panorama Rzymu, z tysiącami swoich wież i kopuł zatopionych w falach *świetlanej* atmosfery. Opuściłem ręce osłupiały, zdumiony takim przepychem wspaniałości krajobrazu, gdy nagle usłyszałem po za sobą: Ach! wypowiedziane dość poważnie, potem drugie Ach! piskliwe i trzy Ach! cieniutkie. Odwróciłem się zrażony tym dysonansem w ogólnej harmonji, i ujrzałem całą rodzinę angielską, która tym wykrzyknikiem objawiała swe uwielbienie dla cudownego krajobrazu, którego widok w niemą pogrążył mnie zadumę. I tak począwszy od lorda czy sira aż do najmłodszej jego córki, wszyscy wrażenie swoje jednym stereotypowym wyrazili okrzykiem. No! pomyślałem sobie, nie dziwię się że w Anglji nie bywa żadnych wstrząśnień ani rewolucyi. Ach! łączy ich węzłem jedności. Mnie od niego zadrgały wszystkie nerwy; zerwałem się i co prędzej zbiegłem w przeciwną stronę.

I tak sam nie wiedząc gdzie idę, wszedłem nareszcie do ogrodu pięknej willi, do której prowadzi piękna aleja z dębów i cyprysów i tam stanąłem na szczycie wzgórza wznoszącego się po prawej stronie Tybru. Jakiż cudowny w około roztacza się widok na Rzym i Kampaniję rzymską!

Niepodobna opisać piękności, uroku oraz niewysłowionej smętności tych wieków minionych, unoszących się po nad całą tą przestrzenią, jakby duchy wyzwolone z ziemskiej powłoki, które choć żyć przestały, błąkają się jeszcze około miejsc byłego swego pobytu.

Tu ukazują się wzgórza kąpiące się w świetlanej atmosferze i przedstawiające się co chwila inaczej, już to w cieniu już w pełnem świetle; tam, nieco dalej, wyższych gór szczyty, uwieńczone jakby nastrzępionym śniegiem; chmury napiętrzone jedne na drugich podobne do olbrzymich bałwanów nagle zatrzymanych w swym pochodzie, zawieszonych nieruchomie i pokrytych u szczytu spienioną pianą. Nieco niżej sterczy San-Oreste z swym nagim i ostrym wierzchołkiem. Tivoli, Frascati, Albano, błyszczą jak bryły srebra na niższych pochyłościach błękitnych pagórków. Ku południowi łańcuch ich obniża się nieznacznie, gubiąc się ostatecznie w obszarach „Kampanji“ która z oddali wydaje się zupełnie fioletowa, a z bliska zachwyca oko najrozmaitszemi odcieniami zieleni.

Tyber roztacza przedemną swe wspaniałe fale, a za nim Rzym rozłożył się poważnie, wraz ze swemi wspaniałemi zgliszczami dawnej wielkości, w pośród których teraz wre i kipi nowe życie, szalonem tocząc się kołem. Tak przed Forum i Kolloseum jak w cieniu kopuły Ś. Piotra, przesuwają się szybko świetne powozy, unoszące piękne i strojne panie, a na Corso mijają się liczne tłumy, jedne pędzą gdzieś szybko, inne stają przed wystawami sklepów, przypatrując się cackom paryzkim porozkładanym w oknach, zamieniając ukłony, mniej więcej szczere uśmiechy i urywane słówka. Na przedmieściu Transtavere igrają dzieci, których twarzyczki zbronzowiały od słońca. Kowal co chwila młot swój podnosi; kamieniarz obrabia złomy marmuru; cieśla pracuje siekierą i piłą; murarz nosi glinę przysposobioną tak jak ją do murowania przyrządzali jego naddziadowie, wstępuje zwolna po drabinie i z właściwą południowcom gnuśnością, zatrzymuje się co chwila, namyślając się gdzie ma złożyć swój wcale nie ciężki ciężar.

Patrzyłem na to wszystko z wierzchołka Monte-Mario i zrozumiałem niemą wymowę kamieni wiekuistego miasta, tę moralną naukę jaką mu udziela sztuka i historya. Jednak rzecz dziwna, patrzącemu tak z wysokości, zdało mi się że Roma jest jeszcze za małą, w porównaniu z imponującą wspaniałością otaczającej ją przyrody.

Bo czemże to jest nareszcie, pomyślałem, owa władczyni świata, dumnie rozpościerająca się u stóp moich?

Stosem kamieni białych, żółtych i brunatnych, rozrzuconych po rozległej równinie, i roztaczających się szeroko w swej ponurej majestatyczności. Step podchodzi pod same bramy miasta, jak fala która zburzyła tamy i zdaje się zagrażać ruiną. Góry i równina potężniejsze są niż gród Romulusa i Augusta z całym swym urokiem, bo pozostają niewzruszone w swej piękności, gdy tymczasem forum, pałace, kościoły, niszczeją zwolna pod wpływem czasu. Cezar i Brutus, żołnierze i niewolnicy, poeci i mówcy, kapłani i wyrobnicy, hordy istot ludzkich znoszących tu kornie swe daniny lub siejące po za sobą trwogę, zwycięzcy i zwyciężeni, przedefilowali przed tym błękitnym szczytem Soraktu (Sant-Oreste) sterczącym niewzruszenie...

Noc zapadała, raz jeszcze obejrzałem się w około i wolnym krokiem zeszedłem ze wzgórza, obiecując sobie codziennie odbywać podobne wycieczki, przez cały czas pobytu w Rzymie.

Przybyłem do Rzymu 21 czerwca, otóż gospodarz mój oznajmił mi że doskonale trafiłem, gdyż za dwa dni będę świadkiem rzadkiej a nader ciekawej uroczystości, jaka zwykle miewa miejsce w noc S. Jana.

Przekonałem się tedy że obchód ten sięgający czasów przedchrześcijańskich, nie tylko w słowiańszczyźnie był zachowywany. Już Brandt w swojem dziele *Starożytności ludowe* podaje opis tej uroczystości w Anglji, zajmujący aż 14 stronnic o dwóch kolumnach; obchodzono go także we Francyi — ale dziś w obu tych krajach prawie poszedł w zapomnienie. Kto wie czy i w Rzymie długo się jeszcze zachowa, choć Włosi bardzo są przywiązani do dawnych zwyczajów narodowych. Otóż opiszę Wam, Czytelnicy, uroczystość Ś-to Jańską, tradycyonalnie przez lud rzymski obchodzoną.

W noc Ś-go Jana (la notte de San Giovanni) tysiące Rzymian wszelkiego stanu, *czuwają* aż do świtu w około bazyliki lateraneńskiej. Wiadomo że podczas tego przesilenia dnia z nocą, Shakspeare w teatrze swoim przyzywa króla i królowej wieszczek, wraz z całym orszakiem czarodziejek i złośliwych duchów, a przecież współcześni jego nie wierzyli już w wieszczki i w czary. Otóż byłem w państwie kościelnem, roku pańskiego 1875 a jest jeszcze tysiące Rzymian wszelkiego stanu, wierzących dotąd że w noc Ś. Jana, czarownice zgromadzają się w około starego orzechowego drzewa z Benevento — i ci dla ujrzenia ich przebywających plac Ś. Jana Lateraneńskiego, aby się stawić na to szatańskie posiedzenie, czuwają noc całą. Utrzymują oni że jakkolwiek czarownice te nie są widzialne dla wszystkich śmiertelników, jednakże istnieją i działają, i dla zjednania sobie ich względów, przezorni Rzymianie stawiają miotły przy progach domów swoich, aby mogły wsiąść na nie czarownice strudzone drogą lub te które postradały jakimś sposobem swych powietrznych wierzchowców.

Jest także talizman cudowny strzegący tych co się nim osłaniają od tych wędrownic, talizmanem tym wprawdzie nie tak poetycznym jak złota gałązka, jaką sybilla zerwała dla Eneasza Wirgiliusza, ale równie skutecznym, jest cała łodyga czosnku z główką i kwiatem. Prócz tego jest jeszcze pewien mięczak, który tejże nocy leczy choroby piersiowe i dostarcza wybornej pomady na spierzchnięcie ust, mięczakiem tym jest: ślimak (lumache). Prócz tego ma on posiadać dotąd cudowną własność, jaką mu jeszcze Plinijusz przypisywał i doradzał kobietom swego czasu, zalecając połknąć jednego, trzech, pięciu, wreszcie ile będą mogły, byle w liczbie nieparzystej. Dalej jeszcze wierzą powszechnie, iż bukiet z lawendy i goździków ofiarowany w noc Ś. Jana, nie tylko ma własność godzenia zwaśnionych kochanków, ale nadto rozpłomienia ostygłych serc małżonków, cóż dopiero jeśli ślimak przychodzi mu w pomoc. W mniemaniu naszego ludu, miejsce ślimaków i bukietów wyżej wspomnianych, zajmuje paproć i widełki z nietoperza. Niewątpliwie podobne zabobony przechowały się z czasów pogańskich; dziwna jednak że wiara w nie nie słabnie i w noc Ś. Jana gromadzi tysiące Rzymian na plac Ś. Jana Lateraneńskiego, którzy w prostocie ducha opowiadają ci że połknęli tej nocy całą kopę ślimaków, przez pobożność (per divozione).

(d. n).

OBRAZY

na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

W WARSZAWIE.

Żniwiarka także pędzla *pana Dylczyńskiego*, jest to hoża dziewucha z kwitnącą zdrowiem twarzą. Przystojnie jej w tej chustce krasnej i w gorsecie zielonym niby ruta. Koszula na niej czysta, biała, a paciorek!... Czy to święto? Nie. Przecie na pszennym zagonie ujęła sierp i stoi. Ktoś tam jedzie drogą; ale niech tylko zniknie.... „niech jeno zejdzie z oczów! to jak się wnet nie porwie! jak nie nachwyci kłosów w garść!.. to będzie żąć, aż grzmi! choćby do samej nocki!“ Da ona sobie radę, i zawsze i wszędzie „Boga się bój, na biedę pluń“ mówi wiejskie przysłowie; słuszne po części. Biada niedołęgom!... sami to nie raz czujemy. Nasza dziewucha nie pomyśli o tem: niczego się nie lęka, nikogo się nie boi, chyba—broń Panie Boże — choroby. Ma silną dłoń, silne zdrowie i jak dzień spojrzenie. Sześć dni roboty a w niedzielę—hoc! Patrzy też sobie na gospodę, ale... od żartów — wara!...

Wdowa obraz p. D. Budkowskiego, przedstawia włoskie kobiety, wcale do naszych nie podobne, jak nam chce dowieść utwór wzmiankowany. Wedle podania, Włoszki są wielce pobożne; ta jednak odstępuje od danej reguły. Przyklękła tylko na nizkim stołku, ręce oparła na filarze, głowę na rękach. Po licach miga wyraz żalu, czy rozdrażnienia. Nie jest to smutek — ale co? Modlitwa się nie klei. Młody Włoch z głębi kruchty spogląda ku wdowie.

Kobieta z tamborynem pędzla K. Millera, spoczęła sobie na kamiennej ławie, po za nią ściana muru; w dali, na tle błękitu, biała wieża kościelna. Ubiór, jak zwykle, malowniczy. Oparła prawie ramię o brzeg tamboryna, gdy lewa ręka dotknęła go z lekka. Jest że to chwila przestanku, czy oczekiwania? W jej uśmiechu jest więcej smutku niż wesela.

Ręce oddane nadzwyczaj starannie; układ ich wdzięczny i naturalny.

Wiejska kobieta z okolic Rzymu, utwór tegoż artysty jest odpowiednim pierwszemu. Młoda Włoszka zstępuje ze schodów przedsienia. Schyliła głowę,

jakby zniechęcona. Prawa jej ręka opada bezwładnie, lewą ujęła koszyk, ale... pusty. Może to powód smutku? Oh! povera! Nie poradzimy! Trzeba zapytać pierwej—o co chodzi.

Panna Emilija Dukszyńska, mimo czynionych jej zarzutów o zbyteczne gładzenie malowanych przez nią twarzy, postępuje dość szybko na obranej drodze.

Postęp ów uwydatnił się mocniej w typowym wzorze *Wiejskiej kobiety z kurą*. Odtąd pędzel panny Dukszyńskiej nabiera więcej siły. Gładzenie ujmujące życia jej utworom, zniknie z latami studyów i pracy.

Dziewczynka z królikiem portret widziany obecnie na Wystawie, wbrew zarzutom, choć i tu buzia dosyć gładka, odznacza się pomysłem układu i otoczenia. Podchwycono tu dobrze owe pierwsze promyki serc dziewczęcych, błyskające uczuciem przyszłej kobiety. Wszystko co wzywa opiekuńczej ręki znajdzie ją pewnie gotową. Najprzód lalki a później kotki, pieski, ptaszki, są przedmiotem najtkliwszych starań i miłości.

Wiedział o tem wybornie mały bieluchny królik, prosząc swojej panienki o śniadanie. Świeże listki kapusty, w okrągłym koszyczku, kruche być muszą i doskonałe. Pieszczoch tedy skosztował, uszczknął tu i owdzie nieznacznie, i już po głodzie! Teraz spoczywa błogo na rękach swej żywicielki. Spokojne oczko, łapki, i różowe uszka dowodzą, że pan Miluś słodko sobie marzy o tem, jak mu to owe listki smakowały. Opiekunka objęła go tuląc troskliwie. Nie zwraca się ku niemu z dziecięcym szczebiotem, coby ją może więcej ożywiło, ale patrzy przed siebie wielkiemi oczyma, dumna niezmiernie ze swego pupilka. Mama pewno połaje, bo sukienka nowa: błękitna jak nieba same. Ten króliczek tak czysty! Przeprosimy mamę.

Oczy dziewczynki zdają się być nad miarę wielkie. Malująca z natury nie odpowiada za jej zbyt hojne dary. Ciemne włoski rozczesane bez przesady. Wrażenia, jak najmilsze.

Portret chłopczyka i dziewczynki, pędzla pana H. Filipowicza, zwraca uwagę zbyteczną jaskrawością nagromadzonych barw.

Pan Heyman Stanisław, zawiesił dwa swoje utwory:—Studyum charakterystyczne, którego przedmiotem jest starzec w połowie postaci malowany i—śpiącego Włocha (siesta). Oba świadczą o wielkiej i sumiennej pracy.

Jak bezlitośnym jest p. Gryglewski, wymawiając nam lokal w cudnie poetyzowanych salonach i pokojach.

Znikły ze ścian!

Możnaż się było domyśleć, że w tak niewdzięcznym przedmiocie, jest tyle siły żywotnej. Siła pana Gryglewskiego, to światło i perspektywa. Trzeba podziwiać mieniące się blaski. Aksamit, adamaszek, atłas, każdy sprzęcik, wszystko, posadzka nawet jest tam idealną! Ktoś się zaśmieje z naszego zachwytu... Idealne posadzki!? absurda! powiecie. Otóż, tak! po dwakroć: tak!

Któż kiedy stał w podziwie przed martwemi ścianami, przed kanapą, stolikiem lub starym fotelem? Pan Gryglewski nie żąda ruchliwych mieszkańców. Tu słońce tylko mieszka i same pół-cienie. Tak nam przedstawił sale Wilanowskiego pałacu. W Łazienkowskich zachodzi nieznaczna odmiana. Młody paź mknie po ślizkiej posadzce salonu, w drugim szlachcic w kontuszu, wiedzie strojną damę. Jest to cały ślad życia, choć i śmierci nie ma: żyją mury!.. to tryumf naszego artysty! Dokazał sztuki, gdyby to nie u nas.... poczekajmy!

A teraz, jeszcze małe słówko.

Pan Gryglewski jest twórcą prawie samoistnym. Mularz, stał się poetą sztuki budowniczej. My jednakże nie śmiało artystę pytamy, jakby też naprzykład wyglądała wielka, samotna sala starego zamku, oblana srebrną poświatą księżyca, ze snującą się postacią z miejscowej legendy? Przedmiot czuły, mniej wszakże na salon zakrawa. Jakżeby pięknie wyszedł z pod pędzla artysty! Troszkę dramatu nigdy nie zawadzi; chociaż — wrażenia nasze i tak dosyć silne.

GOSPODARSTWO DOMOWE.

Przyrządy do owoców, do ich obierania, drelowania i t. p.

Przy pomocy tego przyrządu w jednej chwili obiera się np. jabłko, z największą dokładnością i jak najcieńszą z niego skórkę zbierając. Dwa kółka trybowe nadają ruch i potrzebną siłę ostremu nożykowi osadzonemu na maleńkim walcu oraz szpikulcowi, który wepchnięty w środek jabłka, obraca go wedle potrzeby. Cały przyrząd przyśrubowywa się do stołu, czem się staje o wiele dogodniejszym.

Widzieliśmy także przyrząd drelujący w jednej sekundzie owoce z większemi pestkami, jak wiśnie, derenie i t. d. Z małą zaś odmianą przyrząd ten i do śliwek mógłby się przydać wyśmienicie.

Podłużna miseczka z dwoma rowkami napełnia się owocem, pochylona ku środkowi poddaje w miarę potrzeby owoc, który zadzierguje stosownie urządzony haczyk, leciuchno przebija wyrzucając pestkę i jednocześnie prawie zrzuca go na podstawiony talerz. Kółka trybowe całą maszyneryę w ruch wprawiają. Wszystko się to odbywa nadzwyczaj prędko, przez co i owoc soku nie traci prawie.

Oba te przyrządy oglądaliśmy w magazynie p. Schredera. Pierwszy jest w dwóch wielkościach i kosztuje rs. 2 kop. 25 i rs. 1 kop. 80, drugi jednej wielkości w cenie rs. 1 kop. 80.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu J. P. w Parzniewicach. 100 arkuszy listowego papieru i 50 kopert z kolorowym monogramem kosztuje od rs. 2 do 5.

Pani hrabinie Maryi P. w Turbijówce. W księgarniach warszawskich jest tylko książka pod tytułem: *Apteczka domowa* — Moteckiego, i tę bardzo zalecają. Tegoż autora również jest: *Gimnastyka i dietetyka dla dzieci do lat 10* rs. 1 kop. 20. Drugą książką tenże przedmiot traktującą jest: *Kurs gimnastyki* — Wagnera, wydanie lwowskie, kop 90. Inne mniej są znane.

Pani Zofii F. w Machnówce. List z obszerną odpowiedzią na zapytania z cenami kuchenek naftowych i naczyń do nich zastosowanych, wysłaliśmy d. 31 z. m.

Pani Łucyi Z. w Starej Kamionce. Żądany program Zakładu *Spółki połączonej pracy kobiet* wysłaliśmy, dodawszy niezbędne objaśnienia.

Od Redakcyi.

Z kończącym się trzecim kwartałem wydawnictwa **Tygodnika Mód i Powieści**, upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej za kwartał czwarty tak na to pismo jak i na **Przyjaciela Dzieci**, które pod temi samemi warunkami co dotąd i w dalszym ciągu wychodzić będą.

Ponieważ w roku bieżącym tak znacznie się zwiększyła liczba prenumeratorów, iż byliśmy w obawie możności zaspokojenia ciągle przybywających zapisów, czujemy się przeto w obowiązku podać do powszechnej wiadomości, iż nakład na oba pisma powiększyliśmy, i że nowi prenumeratorowie na zawód niedoboru żądanych egzemplarzy narażeni nie zostaną.

Oprócz artykułów i powieści pań: Orzeszkowej Elizy, Marrené Waleryi (Morzkowskiej), A. Dzieduszyckiej, Maryi Szeligi (Mireckiej), pp. J. I. Kraszewskiego, Ludwika Niemojowskiego, Sygurda Wiśniowskiego, L. W. Szczerbowicza, J. Prusinowskiego i wielu innych, mamy przyrzeczone równie współpracownictwo Antoniego Pietkiewicza (Adama Pługa), którego powieść drukować wkrótce będziemy w Tygodniku Mód i Klemensa Podwysockiego, tłomacza dramatu Wiktora Hugo, obecnie drukowanego w Tygodniku.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . **rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . . **rs. 5**
Rocznie . . . . **rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . . **rs. 1.**
Półrocznie . . . . . **rs. 2.**
Rocznie . . . . . . **rs. 4.**

Pismo to coraz większem ciesząc się uznaniem, nie tylko zachęca do nauki i czytania ale wpływa niezmiernie na poprawę moralną dzieci, w czem śmiało odwołujemy się na świadectwo Rodziców, Nauczycielek i Nauczycieli, obdarzających nas bardzo licznemi korespondencyami z wyrażeniem za to podziękowania.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Elektoralna Nr. 779 (41 nowy).**

Nadmieniamy przytem, że dla Prenumeratorów obu tych pism, Redakcya załatwia wszystkie sprawunki i polecenia, za małem nader wynagrodzeniem osoby jedynie tem się zajmującej.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

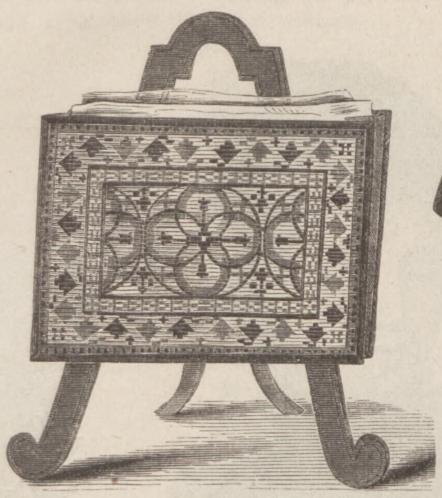
ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 2 (14) Сентября 1875 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 37.

(Dokończenie).

Robotę kaftanika zaczyna się wzdłuż, od brzegu z przodu, cztery rzędy tam i napowrót robią się ściegiem supeł-



N. 3. Teka na postumencie do gazet, fotografii lub t. p.

kowym włóczką czarną, w piątym dodaje się nitkę pąsową którą w obliczonych odstępach zaczynają się pasy gładkie. W 7-ym rzędzie zaczynają się paski czarne, ściegiem wypukłym. Przy końcach rzędów i zmianie kolorów nitek się nieodcina tylko pozostawia z lewej strony. Gdy obliczając podług wzoru, dojdziemy do środka pleców, wykonywamy bez przerwy dalszą robotę w odwrotnym porządku. Rękawy odrabia się także wzdłuż podług ryc. 8, na przydłużenie rzędów dodaje się odpowiednią ilość o. łańcuszka, przy skrócaniu nie dorabia się do końca. Do środkowej części kapturka, odrobionej podług ryc. 9, przyszywa się lewą stroną wyłożenie i odwraca podług ryc. 30; u góry obrabia się kapturek słupkami przedzielanemi o. pow. i nawłóczy w nie sznurek z dwóch kolorów włóczki zakończony kwastami, służący do przyciągnięcia i wiązania.

N. 31—32. Koszyk na paczki i drobne pakunki do przywieszenia w powozie.



N. 5. Bluzka i spódniczka fałdowana dla małej dziewczynki.

Koszyk wskazanego kształtu, upleciony z białej trzciny, wewnątrz wykłada się materyją wełnianą lub ceratą, brzegi zaś u dołu i od góry obejmują się materyją odpowiedniego do wybicia powozu koloru, przewijaną grubą szenelą. Na koszyku wyszywa się także szenelą deseń grecki albo na ryc. 32 podany. Do zawieszenia koszyka służą grube sznury jedwabne z kwastami.

N. 34. Suknia z tuniką. Forma tuniki jak do ryc. 23 w N. 28.

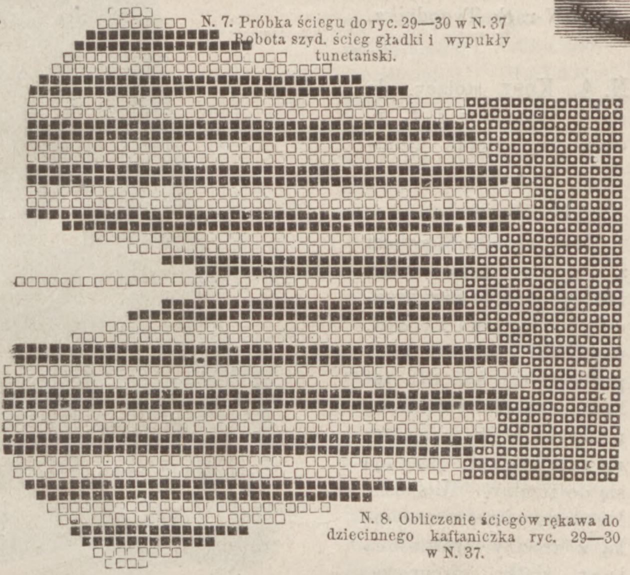
Przy sukni z nieglansownego francuzkiego perkalu, plisowanie skośne



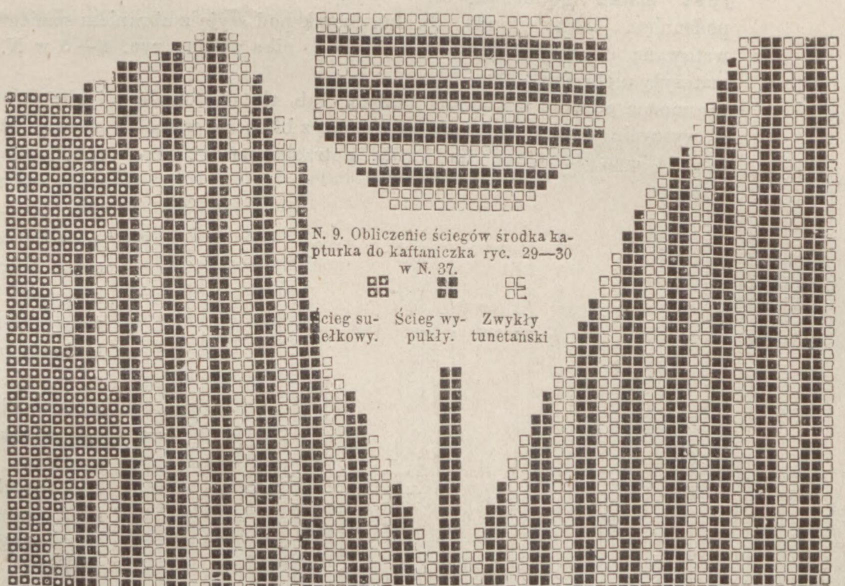
N. 1—2. Sukienka dla dzieci lat 1—3. Rysunek



N. 7. Próbka ściegu do ryc. 29—30 w N. 37 Robota szyd. ścieg gładki i wypukły tunetański.



N. 8. Obliczenie ściegów rękawa do dziecinnego kaftaniczka ryc. 29—30 w N. 37.



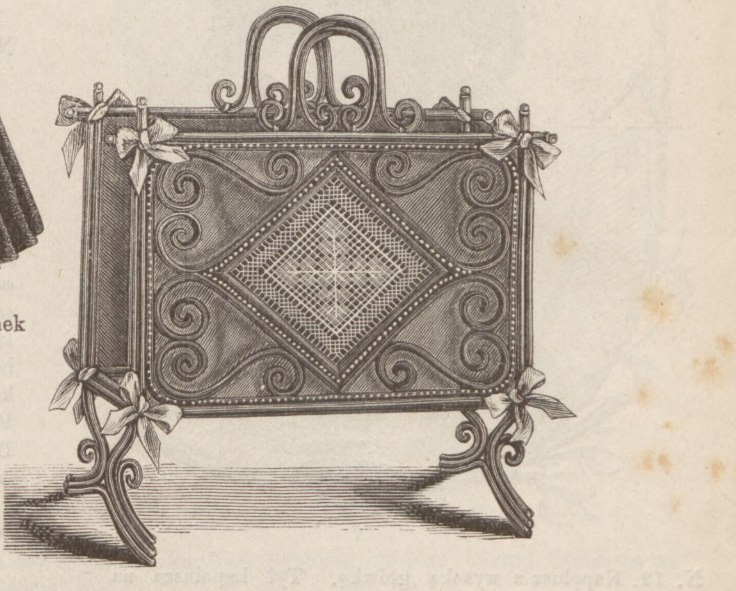
N. 9. Obliczenie ściegów środka kapturka do kaftaniczka ryc. 29—30 w N. 37.

N. 11. Obliczenie ściegów w przodku i połowie pleców do kaftanika ryc. 29—30 w N. 37.



N. 10. Obliczenie ściegów w obłożeniu kapturka od kaftanika ryc. 29—30 w N. 27.

u spódnicy trzyma 12, u tuniki 3 a u rękawów 5 cent. szerokości. Naszycie plisowania przy tunice, rękawach i staniku, przykrywają stębnowane pliski. Kieszonki objęte tylko wypustką; guziki wypukłe służą do zapięcia stanika. Model był w kratę popielatą z białem.



N. 4. Kosz do papierów lub pism ozdobiony siatką gipiurową.

N. 35. Suknia z tuniką fartuszkową fałdowaną. Krój podług ryc. 22 w N. 28.

Cała tunika sukni z kolorowego bareżu, układana jest w poprzeczne fałdy, przestębnowane z boków. Wolant 28 cent. szeroki w górze zakończony jest kilka razy przemarszczonym nagłówkiem, u dołu plisowaniem 6 cent. szerokiem; takież plisowanie zdobi tunikę. Przy ubraniu rękawów i stanika plisowanie ma $2\frac{1}{2}$ centymetra. W fałdy ułożone ubranie na staniku od $3\frac{1}{2}$—6 cent. szerokie z przodu idzie przy podłużnym wykroju i zapięte jest kokard-, z tyłu we wcięciu pasa



N. 6. Marynarskie ubranie dla chłopczyka.

zkrzyżowane z końcami na baskinę spuszczonemi, układa się z dwóch prostych 17 cent. szerokich kawałków, których dolne końce są skośnie ścięte. Szarfy u góry długim fałdowanym puklem przepięte, z brzegów w 5 fałd zaprasowane, układa się z całej szerokości bareżu.



N. 12. Kapelusz z wysoką główką. Tył kapelusza na ryc. 13.

Opis do N. 38.

N. 1—2. Sukienka dla dzieci od lat 1—3.

Sukieneczka przedstawiona z przodu i z tyłu na ryc. 1—2 może być odrobiona z aksamitu lub kolorowej flanelki, podług formy załączonej przy ryc. 3—6 w N. 27, albo przy ryc. 46 w N. 15. Zapięcie sukienki na ryc. 1 dopełnia się z lewej strony przodu, brzegi którego wycięte są w proste zęby 2 1/2 cent. szerokie, objęte repsową wypustką. Pod ząbkami podszyty jest szlaczek, haftowany w trzy rzędy kółek, zapełnianych ażurowemi pajączkami, który w każdem zagłębieniu założony jest w kontrafałdę. Kaftaniczek i rękawy oszyte są również wypustką i szlaczkiem.



N. 19. Strojne ubranie z wyciętym stanikiem i tuniką fartuszkową.

N. 3. Teka z postumentem, do rycin, obrazów, papierów i t. p.

Teka na postumencie urządzonym w kształcie sztalug może zająć miejsce na eleganckiem biurku. Postument 31 cent. wysoki pokryty jest brązową skórą; takiż wyciskany papier pokrywa ścianę tylną i suflety boczne teki 17 cent. wysokiej a 23 1/2 cent. szerokiej; strony wewnętrzne wyklejone są białą morą. Frontowa ścianka ozdobiona jest haftem, robotą krzyżową lub malowaniem na szkle. Desenie i wzory znajdą czytelniczki w dawniejszych N-rach Tygodnika.

N. 4. Kosz stojący, do nót, rysunków i t. p. ozdobiony siatką gipiurową.

Kosz ten odrobiony jest z czarno lakierowanej trzciny; pod ścianę przednią i tylną (po 24 cent. wysokości a 35 długości) poddają się kawałki tektury wyklejonej niebieską materyją, które maleńkiemi sztyfcikami przybija się do trzciny. W skośne kwadraty odznaczone ramką z trzciny, wprawiona jest siatka gipiurowa, podsunięta lekko podwatowaną dla wypukłości materyją niebieską. Siatkę można odrobić w kolorze białym, lub tło dać białe a wyszycie écru. Kokardy wiązane są z błękitnej wstążki 2 3/4 cent. szerokiej; na każdą potrzeba po 42 centymetry.



N. 14. Stanik pod szyję z ubraniem szmizetkowem. Krój stanika podług ryc. 4—5 w N. 36.

N. 5. Sukienka z fałdowaną spódniczką i bluzką, dla małej dziewczynki.

Ubranie to odszyte jest z materyjału w paski białe i pąsowe bluzka zapięta z przodu za pomocą guzików i patek po 5 1/2 cent. długich a 3 szerokich ściętych w końcach w ząb. Szalowy kołnierz otwarty aż do paska, z boków podcięty w formę klapek, liczy w środku 8, w końcach po 3 cent. szerokości; z brzegów ostębnowany jest dwoma białemi pliskami a od przodu podgarnirowany haftowaną falbaneczką 3 cent. szeroką. Bluzka lekko spadająca od dołu, wszyta jest w pasek zapinany na guzik. Zupełnie prosta spódniczka liczy 260 cent. obwodu a 42 cent. długości i zakończona jest u dołu dwoma białemi pliskami; w jedną stronę zakładane fałdy po 5 1/2 cent. głębokie zaprasowywują się w całej



N. 16. Ubranie głowy dla panny młodej.



N. 17. Ubranie ślubne.



N. 18. Haft kolorowy na taśmie wełnianej.

długości; 12 cent. szeroka kontrafałda przyciśnięta jest z brzegów guzikami.

N. 6. Ubranie marynarskie dla chłopczyka.

Wykończone jest z szarego płótna znaną i jeszcze w przeszłym roku podawaną formą marynarską; prosta bluza liczy 76 cent. szerokości i ściąga się u dołu na elastykę. Kołnierz, pliski i wykłady na rękawach są z granatowego płótna, zakończone białą wypustką i guzikami rogowemi. Kokardy z taśmy granatowej.

N. 7—11. Wyliczenie oczek w robocie szydełkowego kaftanika dla dzieci. Opis podaliśmy przy rycinie 29—30 w N. 37.

N. 12—13. Kapelusz z wysoką główką.

Na około odwinięte rondko kapelusza przedstawionego z przodu i z tyłu na ryc. 12—13 pokryte jest w kontrafałdy ułożonym skosem czarnego repsu. Przybranie główki składa się z 14 cent. szerokiego skosu czarnego repsu, przewiniętego naokoło i upiętego z boku w kokardę o kilku puklach z pod której jedno szafirowe strusie pióro wysuwa się do tyłu a drugie krótsze spada ku przodowi. Rondko podpięte jest od spodu gałązką róż, które z boku wychylają się ku twarzy.



N. 15. Stanik pod szyję z szalowym kołnierzem.

N. 14. Stanik pod szyję ze szmizetkowym przybraniem. Krój jak do ryc. 4 i 5 w numerze 36.

Szmizetka 32 cent. długa a 20 szeroka, dodana przy wykroju szyi do szwu na ramionach, ułożona jest w fałdki pół cent. szerokie, oszyta u dołu wypustką i otoczona drobniutkiem plisowaniem. Końce z wstążki po 84 cent. długie, przyszyte poniżej plisowania, związane są w dużą kokardę. Koronka 8 cent. szeroka otacza na staniku brzeg szmizetki, poniżej zaś spada w dwa końce, po 33 cent. długie, zszyte z koronki zwróconej brzegami do siebie i lekko nadmarszczonej. Rękawy przybrane są odpowiednio do stanika: fałdowanie liczy przy nich po 7 cent. szerokości, od dołu idą dwa rzędy plisowania po 3 cent. szerokiego, w górze zaś odstają dwie, zachodzące na siebie, sztylpy po 7 cent. szerokie; kokardy z wstążki dopełniają przybrania. Stanik poniżej szmizetki zapięty jest na perłowe guziki, brzegi baskiny oszywa 7 cent. szeroka frendzla, z karbowanej plecionki, zakończona kwaścikami.

N. 15. Stanik z szalowym kołnierzem.

Niejednokrotnie już podawaliśmy formy szalowych kołnierzy w różnych odmianach, najlepiej jednak, nim się wykroi formę z materyjału, dopasować ją z bibułki lub sztywnego muślinu. Kołnierz przedstawiony na ryc. 15 układa się ze skośnego kawałka na podstawie muślinowej; skos liczy 23 cent. szerokości i złożony jest w trzy fałdy równej głębokości, w środku 8 cent. szerokie, a ku przodowi zwężone do 4 cent. w końcach. W górę stojąca wyższa część kołnierza, ukrojona skośno, oszyta jest z brzegów wypustką a od spodu podgarnirowana drobniutkiem plisowaniem, ułożonem w kontrafałdy. Rękawy przybierają się podług ryc. 15; kokardy dodane są z wstążki lub skosu podszytego muślinem.



N. 13. Kapelusz z wysoką główką. Przód kapelusza na ryc. 12.

N. 16. Ślubne ubranie głowy.

Suto ułożone wianeczki i welony zarzucane na twarz, jak to widzimy na ryc. 16 odpowiednie są tylko dla młodziutkich osób, trochę starsze używają girland ze spadającemi gałązkami. Illuzyja brana na welony ma 2—4 metrów szerokości, z tyłu spuszcza się aż na tren, a z przodu sięga do kolan. Welon zarzuca się już po przypięciu wia-

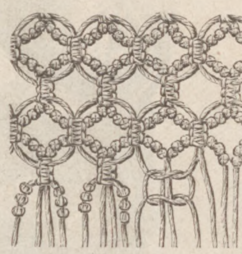


N. 20. Strojne ubranie ze stanikiem pod szyję i odznaczonym trenem. Krój stanika kirasowego jak do ryc. 1—2 w N. 20.

neczka, zręcznie drapuje na osobie, a u dółu obcyrklowywa nożyczkami, ścinając wystające rogi illuzyi.

N. 17. Ślubne ubranie.

Suknia odszyta jest z ciężkiego jedwabnego repsu z wielkim trenem, gładka spódnica układa się z tyłu w głęboką kontrafałdę, ciągle utrzymującą się w modzie. Skromne ubranie stanika formą kirasową stanowi chusteczka z pięknego tiulu, oszyta prawdziwą koronką skrzyżowana trochę na piersiach i złączona kokardą z repsowej wstążki, przepiętą bukiecikiem.



N. 22. Próbka roboty wiązanej do sakiewki N. 21.

N. 18. Szlak haftowany jedwabiami na taśmie.

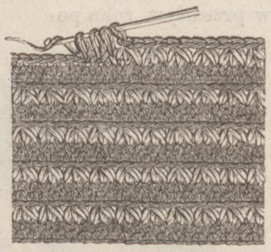
Odpowiedni jest do przyozdobienia różnych małych robótek, wyszyty na czarnej taśmie jaskrawemi jedwabiami wygląda bardzo efektownie. Ściegi użyte do tego deseniu są bardzo dokładnie wskazane na ryc. 18.

N. 19. Strojne ubranie z wyciętym stanikiem i fartuszkową tuniką.

Suknia z jasnej jedwabnej materyi ma stanik wycięty z baskiną i spódnicą z długim trenem ułożoną z tyłu w kontrafałdę; przybranie spódnicę stanowi wolant z wielką bufą przemarszczaną drobno kilka razy u góry i u dołu. Fartuszkowa tunika, którą można dopasować podług form załączonych na arkuszu z skrojami do N. 27 i 28 Tyg. Mód, oszyta jest plisowanemi falbankami lub koronką, odpowiednio do przybrania berty. Wypustka jedwabna otacza brzeg nagłówka przy bufie i brzeg baskiny, która zachodzi gładko aż po boczki od pleców przy których jest przecięta i dopełniona zręcznie upiętemi puklami od szarf. Te ostatnie ułożone z wstążki lub materyi potrzebują kawałka 400 cent długiego a 28—30 szerokiego. Wykrój stanika otoczony jest bufą 6 cent. szeroką, zakończoną z brzegów nagłówkami, z pod której spada falbanka lub koronka zwężona trochę na ramionach. Wstążki koloru sukni, kwiaty i pióra dopełniają przybrania snkni, stanika i głowy.



N. 21. Sakiewka. Robota wiązana. Zobaczyć próbkę r. 22.

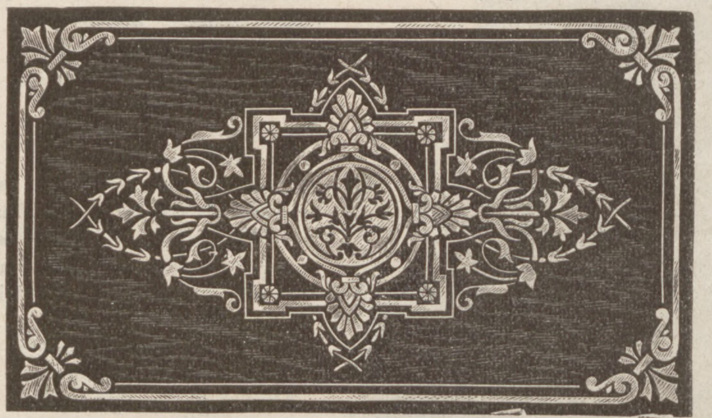


N. 23. Próbka ściegu szydełkowego do sakiewki N. 21.

N. 20. Strojne ubranie z kirasowym stanikiem i odznaczonym trenem. Krój na ryc. 1—2 w N. 20.

Suknia odszyta z kolorowej jedwabnej materyi. wygląda bardzo strojnie i efektownie z przybraniem z koronki, jakie wskazuje ryc. 20. W miejsce bardzo kosztownej kupnej koronki użyć można zrobionej własnoręcznie i taką właśnie przedstawiliśmy na modelu; bardzo piękne desenie koronek irlandzkich, gipiur, wywodzeń lub aplikacyi na tiulu znajdą czytelniczki w N-rach Tygodnika. O kroju sukni i przybraniu odznaczającem tren pisaliśmy już w N. 20 Tygodnika przy ryc. 1—2; na przednim brycie i klinach dane jest od dołu szerokie plisowanie, po nad którem idzie szeroka riusza, środkiem przemarszczona kilka razy, po nad nią bryty sukni ułożone są w podłużne płaskie bufy, przedzielane drobniutkiem przemarszczaniem. Falbana otaczająca tren i odznaczajaca go z boków sukni, liczy w górze 10 cent. a w środku u dołu 30 cent. szerokości. Rękawy z wierzchu przemarszczane są w bufki podłużne, a u dołu przystrojone falbaną i koronką odpowiednio do sukni. Naszycie koronki dopełnia się podług ryc. 20.

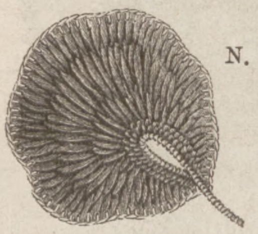
(d. n.)



N. 24. Tafla malowana szklanna do teki, szafki do kluczy lub t. p. Malowanie na szkle naśladujące palisander i konchę perłową.



N. 26. Bratek z włóczki, robota dziergana.



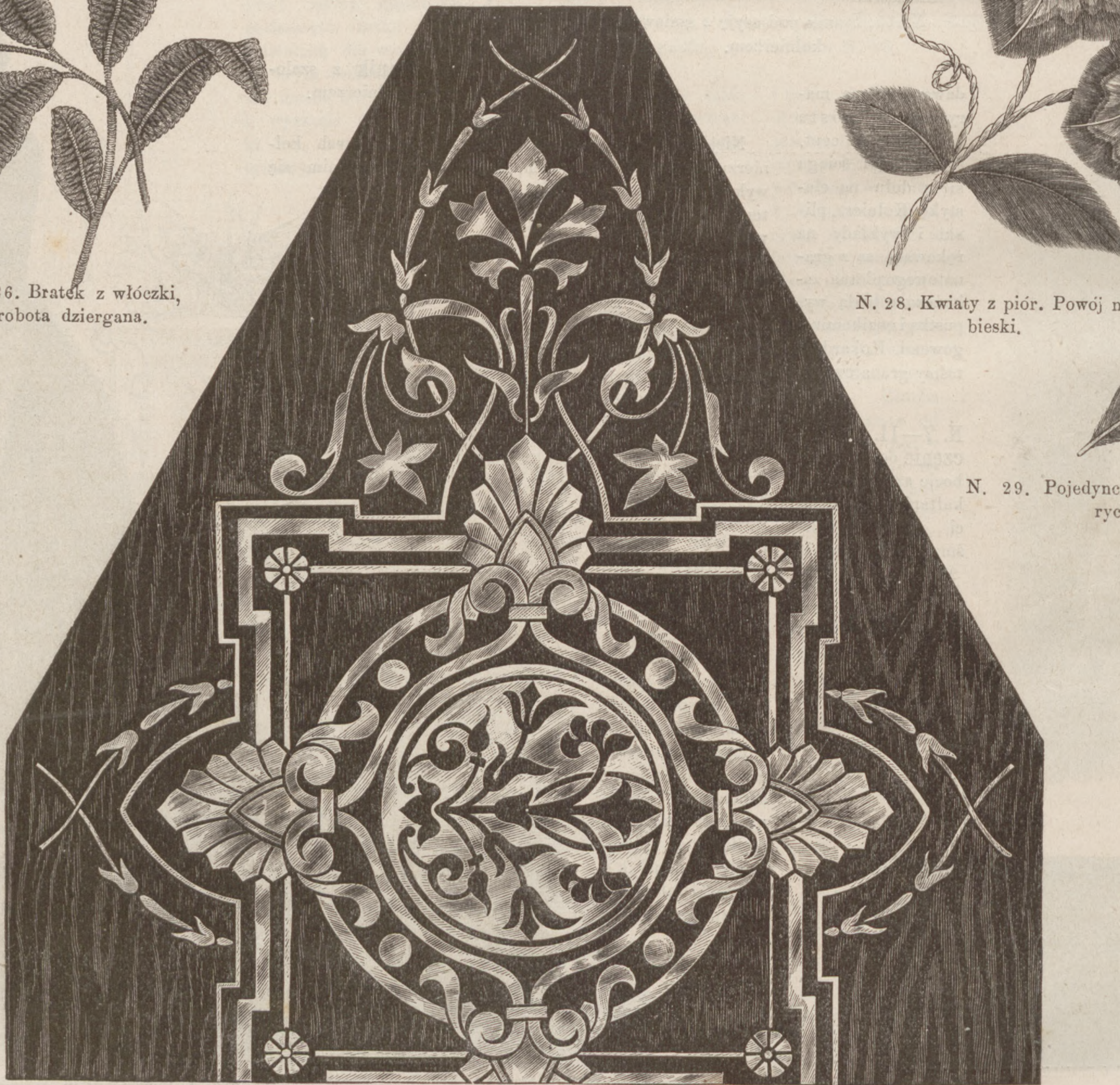
N. 27. Pojedynczy listek do bratka.



N. 28. Kwiaty z piór. Powój niebieski.



N. 29. Pojedynczy listek do powoju, ryc. 28.



N. 25. Część środkowej arabeski do ryc. 24. Deseń naturalnej wielkości.